RYSZARDA WILCZYŃSKA

OPOWIEŚĆ

prawie fantastyczna

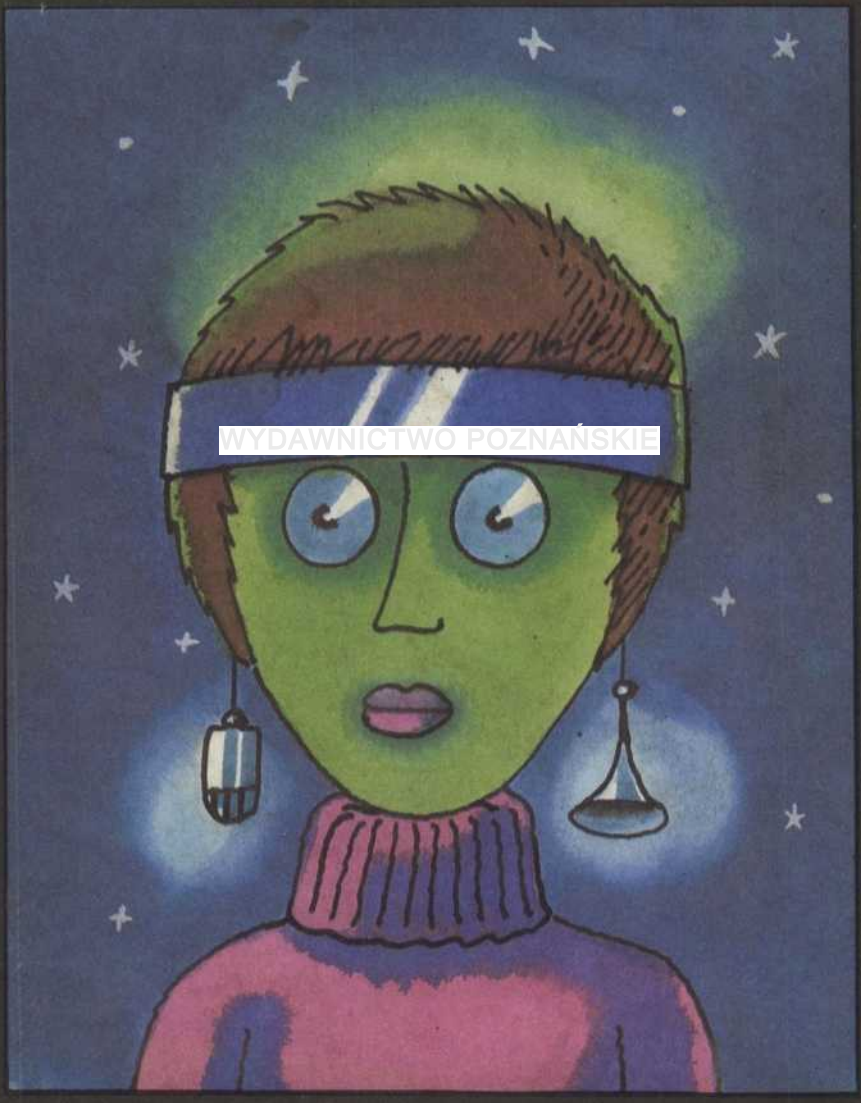

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

RYSZARDA WILCZYŃSKA

OPOWIEŚĆ
prawie fantastyczna

Ilustrował JERZY FLISAK

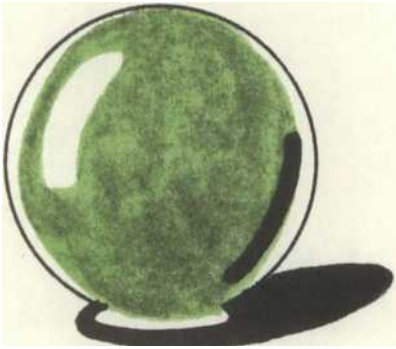

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE . POZNAŃ 1988

ISBN 83-210-0738-4

Przyszła do naszej klasy krótko po rozpoczęciu roku. Szedłem właśnie do szkoły, kiedy naprzeciw mnie wyskoczyła Bukwa, najlepsza uczennica z rosyjskiego.

— Wiesz, mamy w klasie nową! — zawołała.

Kiedy zobaczyłem nową, pomyślałem, że Bukwa się chyba pomyliła: to nie nowa, lecz nowy. Była ubrana w dżinsy z szerokim paskiem nabijanym blaszkami i w czarny golf, a włosy miała gładkie i krótko przystrzyżone jak chłopak. Dopiero gdy zajrzałem jej w twarz i spostrzegłem kolczyki przy uszach, zrozumiałem, że to jednak jest dziewczyna.

Kolczyki — rzecz zwyczajna, wszystkie dziewczyny w naszej klasie, a nawet w całej szkole, noszą coś przy uszach, jakieś serduszka, bombki, kółeczka, ale nowa miała zupełnie inne. I nie były jednakowe. U jednego ucha zwisał na łańcuszku drobiazg podobny do trąbki, u drugiego — coś w kształcie miniaturowego mikrofonu. Oczy miała dziwnie błyszczące, duże i jasne, a cerę zupełnie bladą, bez odrobiny rumieńców. Stała pod ścianą w korytarzu, z torbą na ramieniu i z rękami w kieszeniach. Żal mi jej było, że stoi tak sama, więc spytałem:

— Będziesz z nami chodziła do szóstej „c”?

— Tak — odrzekła i popatrzyła na mnie ciekawie.

— Mieszkasz tu na osiedlu? — chciałem jakoś podtrzymać rozmowę. I zaraz dodałem: — Bo my tu wszyscy jesteśmy z osiedla.

— Nie — powiedziała. — Dojeżdżam z peryferii, niedaleko stąd.

— A czym dojeżdżasz? Autobusem?

— Na wrotkach — odparła.

Nie zdziwiło mnie to, bo wszyscy mieliśmy wrotki i jeździliśmy na nich po parku, osiedlu, a nawet chodnikami po ulicach.

Nie wiedziałem, o czym z nią jeszcze mówić, bo wypytywać więcej już nie wypadało. „Rozmowna to ty nie jesteś" — pomyślałem o niej.

Na szczęście rozległ się drugi dzwonek i nadeszła nasza pani wychowawczyni. Miała dziś z nami pierwszą lekcję. Weszliśmy do klasy. Pani ujęła nową pod ramię:

— Przedstawiam wam Anię Astrę, będzie się z wami uczyła.

Po klasie przeszedł szmer, a Grzegorz szepnął mi do ucha:

— Astra? A może pelargonia? — i zaśmiał się cichutko. Nowa dygnęła i wcale się nie zaczerwieniła. Gdybym to ja był na jej miejscu, spąsowiałbym jak burak.

— Z kim chciałabyś siedzieć? — spytała pani Astrę.

— Z nim — wskazała ruchem głowy na mnie.

„To ci los! Tak mi się odwdzięczyć za moją uprzejmość!" — pomyślałem, bo nie lubiłem siedzieć z dziewczynami.

Grzegorz, mój kolega z ławki, powędrował do Tomka, który był bez pary, a Pelargonia rozgościła się na jego miejscu.

Już po kilku dniach było wiadomo, że nowa jest bombową uczennicą.

—Nie lubię Pelargonii — zwierzył mi się raz Grzegorz, gdy wracaliśmy ze szkoły. — Za mądra.

Przemilczałem to, bo nie chciałem się przyznać, że mnie Pelargonia zaimponowała. Zresztą zaimponowała prawie całej klasie. Niemalże po tygodniu dziewczyny pozamieniały się między sobą kolczykami, żeby przy każdym uchu był inny, i teraz Bukwie dyndały przy uszach nie dwa słonie, tylko jeden, bo przy drugim zwisał listek. Wszystkie miały niejednakowe pary kolczyków. I wszystkie zaczęły chodzić w spodniach, choć tak niedawno pyszniły się swoimi długimi spódnicami.

My, chłopcy, dalecy oczywiście byliśmy od ulegania jakimkolwiek wpływom Pelargonii i — co tu ukrywać — staraliśmy się znaleźć w niej jakąś wadę, jakiś słaby punkt, żeby choć raz nad nią zatryumfować.

—To niemożliwe, żeby dziewczyna była lepsza z matematyki niż my — powiedział Paweł, ubiegłoroczny zwycięzca w konkursie klasowym z przedmiotów ścisłych.

—I radio potrafi naprawić! — dodał Kaktus, który należał do kółka młodych techników.

Z tym radiem było tak:

Na lekcji polskiego słuchaliśmy audycji o Bolesławie Prusie. Nagle coś się zepsuło w odbiorniku i radio zamilkło. Wtedy Pelargonia podeszła do stołu, wyjęła tylną ściankę aparatu i zaczęła kręcić, wiercić i dłubać. Potem wyłożyła z kieszeni na stół parę bezpieczników radiowych, diody, cieniutkie miedziane druciki, blaszki i kawałek ołowiu.

—Trzeba wymienić bezpiecznik i przylutować diodę — powiedziała. — Może ktoś przyniesie z pracowni technicznej małą lutownicę?

Pani od polskiego ze zdziwienia zaniemówiła, Bukwa siedziała

z otwartymi ustami jak ryba wyjęta z wody, a nas, chłopaków, po prostu sparaliżowało.

— Chyba zrezygnujemy dziś z audycji — pierwsza odzyskała głos pani.

— Ależ nie, szkoda — powiedziała Pelargonia. — To potrwa tylko chwilę.

Pobiegliśmy z Grzegorzem po lutownicę.

— A to ci dopiero... Dioda! — złościł się Grzegorz.

— Wymyślanie przezwisk to chyba twoja specjalność — zaśmiałem się. — Dioda! A wiesz, że to nawet lepiej do niej pasuje niż Pelargonia? W pelargonii jest coś pospolitego... A przecież ona...

Ale Grzegorz mi przerwał:

— Mówię ci, że to pewnie chłopak, który udaje dziewczynę.

— Po co by to robił? No powiedz, chciałbyś być dziewczyną?

Przynieśliśmy lutownicę i radio niebawem zagrało.

Dioda nas złościła, ale też i zaciekawiała. Chcieliśmy się koniecznie do niej zbliżyć, żeby ją lepiej poznać i znaleźć wreszcie w niej ten słaby punkt.

Okazja się właśnie nadarzyła.

— Przyjdź do mnie w sobotę na imieniny — powiedziałem do niej — zaproszę także dziewczynki, może być pół klasy.

— Nie mogę w sobotę — odrzekła. — Wyjeżdżam do rodziców i wracam dopiero w poniedziałek rano.

— A to nie mieszkasz z rodzicami?

— Nie. Rodzice wynajęli mi pokój u znajomych.

No i mieliśmy teraz nową zagadkę! Cały czas na imieninach, na które zresztą w ogóle nie zaprosiłem dziewczynek, rozmawialiśmy o Diodzie.

— Trzeba zrobić wywiad, gdzie mieszka naprawdę — powiedział Paweł. — Wiecie, że zapisała się do kółka technicznego? A z nią także Bukwa?

Z obecnych u mnie chłopaków tylko Paweł i Kaktus należeli do tego kółka, toteż byliśmy źli, kiedy usłyszeliśmy, że pchają się tam dziewczyny.

— Trzeba ją cały czas śledzić — zawziął się Grzegorz. —

Siedzisz z nią w jednej ławce i nic o niej nie wiesz — spojrzał na mnie z wyrzutem.

—Nie mogę tak wciąż wypytywać, a ona o sobie nie lubi mówić. A zresztą to dobra koleżanka. Pamiętacie, jak mi pomogła wtedy na wieczornicy?

—Tak, tak, ale w tym były jakieś czary! — zawołał Grzegorz.

—Skądże! Td była telepatia — zaprzeczyłem.

A z telepatią to było znów tak:

Miałem deklamować balladę „Powrót taty" na wieczornicy poświęconej pamięci Adama Mickiewicza, patrona naszej szkoły. Nie mogłem się od tego wykręcić, gdyż złapałem dwie dwóje z polskiego, bo nie umiałem wiersza, i udział w tej imprezie mógł uratować mnie choć trochę w oczach naszej pani.

—Czemu tak się boisz wystąpić na scenie? — spytała mnie Dioda.

—Mam słabą pamięć, tremę i czerwienię się...

—Nie bój się. Tremę trzeba przełamać. Pomogę ci. Naucz się wiersza, jak potrafisz najlepiej, a kiedy wejdziesz na scenę cały czas patrz mi w oczy. Usiądę niedaleko.

—Nie rozumiem, jak można patrząc ci w oczy podczas deklamacji nie pokręcić wszystkiego?...

—Przekonasz się, tylko mi zaufaj. To po prostu będzie coś w rodzaju telepatii. Znam ten wiersz i będę go w myślach mówiła do ciebie, a ty przejmiesz moje myśli. Nie słyszałeś nic o telepatii?

—Ależ tak, i nawet próbowałem raz ściągnąć na siebie telepatycznie uwagę Pawła na klasówce z matematyki, żeby mi pomógł, ale on nic a nic nie poczuł.

—Nie każdy się do tego nadaje — uśmiechnęła się. — Trzeba dużego skupienia. Ze mną ci się uda, tylko naucz się wiersza i patrz mi cały czas w oczy, jak wystąpisz. I musisz koniecznie wierzyć, że to ci pomoże.

Wszedłem, pamiętam, na scenę i ukłoniłem się.

—Powrót taty — powiedziałem śmiało i głośno i spojrzałem na Diodę. Siedziała naprzeciwko, a oczy... oczy... wyobraźcie sobie... miała zamknięte!

Poczułem, jak pustoszeje mi głowa.

—Pójdźcie! — jęknąłem i zawiesiłem głos w próżni. — O dziatki... — rozżaliłem się i patrzałem na Diodę w niemej rozpaczy. — Pójdźcie wszystkie razem! — wezwałem dramatycznie i rozejrzałem się dokoła. — Za miasto!, pod słup!, na wzgórek! — krzyczałem, żeby obudzić Diodę.

—Po cóż tyle przesadnej ekspresji? — dobiegł mnie zza kulis szept pani kierującej kółkiem teatralnym.

Słowa wiersza ugrzęzły, utonęły w niepamięci. Zaległa cisza, a cała widownia czekała w napięciu, co będzie dalej. „Balon śmiechu pęknie za chwilę” — pomyślałem i zamknąłem oczy. Kiedy je z lękiem otworzyłem — Dioda właśnie uniosła powieki.

—Tam przed cudownym klęknijcie obrazem — usłyszałem znowuż swój własny głos, ale tym razem pełen ulgi i spokoju. Dalej poszło mi jak z płatka. Schodziłem ze sceny w burzy oklasków, a twarz mi płonęła jak ogień.

—Czemu tak długo nie podnosiłaś na mnie oczu? — spytałem Diodę na drugi dzień.

—Musiałam się mocno skupić — odrzekła poważnie. — Bardzo przeżywałam twój występ i ten piękny wiersz...

Co do pierwszego, to się nie zdziwiłem, ale że można przeżywać wiersz — nigdy by mi to nie przyszło do głowy!

Muszę jednak wrócić do dnia moich imienin. Otóż ustaliliśmy wspólnie, że koniecznie trzeba Diodę śledzić, żeby raz wreszcie ją zdemaskować, no bo kim właściwie jest, że ma taką moc?

—Może to czarownica? — powiedział Kaktus. Zawsze był złośliwy.

—E! Gadasz głupstwa! — zaoponowałem. — Nie żyjemy w średniowieczu, żeby w to uwierzyć.

—No to czemu rzuciła czary na wszystkie dziewczyny? Mówią i ubierają się tak jak ona, uczą się ze „Słownika wyrazów obcych” różnych mądrych słówek, Kasia zaczęła zbierać piątki, co było dotąd nie do pomyślenia, a Bukwa nosi w kieszeniach druty!

To prawda, że odkąd przyszła do nas Dioda, wiele się w naszej klasie zmieniło. Jej wpływ powoli już się udzielał nawet chłopcom. Pyza, który czytał w ciągu roku tylko jedną książkę, teraz

co trzeci dzień biegał do biblioteki, a Zając zaczął pisać wiersze — wszystkie podobno o Diodzie. Jeden taki wiersz krążył w odpisach pomiędzy chłopakami. Wynikało z niego, że Zając się w niej zakochał, ale Zając gorąco temu zaprzeczył i powiedział, że owszem, wiersze o Diodzie pisuje, nie są one jednak miłosne i na dowód przeczytał nam jeden:

Odkąd przyszła do nas Dioda,
wnet się odmieniła moda, nie ma
fryzur rozwichrzonych, włosy
krótko przystrzyżone.

Krótkie włosy – mądra główka,
mądra główka – mądre słówka, nie
ma w klasie szkolnej gwary, gwara
poszła na wagary, nastał teraz
nowy szyk,

Pyza książki czyta w mig,
Bukwa ma w kieszeni drut

i tak dalej — o każdym po trochu, ale o miłości nic tam nie było. Niebawem i ten wiersz zaczął krążyć po klasie, tylko że ktoś dopisał do niego zakończenie:

Co tu jeszcze można dodać?
Ja się kocham w tobie, Dioda.

Kaktus, kiedy to przeczytał, powiedział, że poeta zrobił błąd, bo „Dioda” powinno być w wołaczu, na co Bukwa odrzekła, że nie ma w tym żadnego błędu, gdyż to jest licentia poetica, która dopuszcza pewne odstępstwa od gramatycznych reguł. Chyba wyczytała to w „Słowniku wyrazów obcych”.

W najbliższą sobotę Dioda wyszła ze szkoły, przypięła wrotki i pomknęła w innym niż zawsze kierunku, alejką okalającą park. Przedtem nigdy tego nie robiła. W następną sobotę Grzegorz

wykręcił się z ostatniej lekcji udając ból brzucha i zaczaił się w krzakach na drugim końcu parku.

Opowiadał, że Dioda przyjechała, stała chwilę, a potem zjawił się zielony pojazd i wsiadła do niego. Za kierownicą był zielony manekin i z tyłu głowy miał trzecie oko.

Myślę, że Grzegorzowi z nadmiaru ciekawości „potroiło się w oczach".

Niebawem o Diodzie zaczęły krążyć wśród nas, chłopaków, coraz to dziwniejsze historie. Przynosili je Grzegorz i Paweł, którzy zorganizowali siatkę wywiadowczą i tak się tym przejęli, że zupełnie zaniedbali się w nauce.

Ile było prawdy, a ile fantazji w tych niesamowitych opowieściach o Diodzie — jeszcze nie wiedziałem. Mówiono na przykład, że w jej pokoju stoi na biurku szklana kula, w którą Dioda wpatruje się codziennie przez piętnaście minut, zanim usiądzie do lekcji. Spać chodzi bez kolacji. Na głowę wkłada metalową obręcz z jakimiś przewodami, które podłącza do podręczników ułożonych pod poduszką.

— Dlatego taka mądra, bo samo jej to w nocy wchodzi do głowy! — złościł się Paweł.

— Buchniemy jej książkę do fizyki. Jutro klasówka, zobaczymy, jak sobie poradzi — wpadł na pomysł Kaktus.

— Włoży na noc pod głowę zeszyt — zauważył Grzegorz.

— To buchniemy jej i zeszyt!

Dziś wstyd mi wyznać, że również włączyłem się do tej brzydkiej akcji. Uwierzcie mi jednak, że z serca życzyłem Diodzie powodzenia i w czasie klasówki działałem na nią telepatycznie, przekazując swoje wiadomości, żeby tylko nie dostała dwói.

Jakież było zdumienie kolegów, kiedy klasówkę jak zawsze napisała na piątkę!

„To dzięki telepatii" — pomyślałem, czekając niecierpliwie, aż otrzymam z rąk pani moją klasówkę. „Pewnie też będzie piątka..." — cieszyłem się. Ale niedługo. Klasówkę bowiem napisałem na trzy z dwoma minusami.

— Niesłusznie ją podejrzewacie o magiczne sztuczki — powiedziałem chłopakom na przerwie. — Więcej się już do

takich akcji nie przyłączę. Dioda po prostu jest od nas lepsza, a my jej zwyczajnie zazdrościmy!

Ale koledzy nie podzielali mego zdania.

— Czy pójdziesz z nami zobaczyć przybysza z kosmosu? — spytali w sobotę.

— Przybysza z kosmosu?! — zdumiałem się, bo to było zupełnie coś nowego.

— No, tego zielonego manekina, co ma z tyłu oko — wyjaśnił Grzegorz.

Zaniemówiłem z wrażenia.

— To nie wiesz, że ona ma kontakty z UFO?

O tym nigdy dotąd nie pomyślałem. Nie mogłem jednak pójść z nimi, choć ciekawość wprost mnie rozsadzała. Musiałem odebrać brata z przedszkola i wstąpić do biblioteki po książkę dla mamy. Potrzebna jej była na zajęcia w szkole.

„A może rzeczywiście nie jest zwyczajną dziewczynką?" — myślałem idąc z bratem do wypożyczalni. „Że też nie mogłem się wybrać z nimi na tę wyprawę..." — niecierpliwiłem się.

W wypożyczalni było dużo ludzi, więc stanęliśmy w kolejce. Braciszek wiercił się tu i tam, a ja usiadłem na wolnym krześle. „Co oni teraz robią? Gdzie są?" — myślałem o kolegach. „Czy przyjechał pojazd z przybyszem z kosmosu?"

Ponieważ wszedł starszy pan, więc wstałem i powiedziałem:

— Proszę pana, proszę usiąść.

— Dziękuję. Grzeczny jesteś — odrzekł pan, a mój braciszek nagle wtrącił:

— Tatuś go tak wytresował.

Tego mi było dziś za wiele! Nie dość, że przez malucha wlokłem się do biblioteki o wiele dłużej, niż gdybym był sam, to jeszcze mi robi wstyd! A tam chłopcy... i mnie nie ma wśród nich...

— Tresuje się psy — wyszeptałem mu zjadliwie do ucha — nie ludzi! — i uszczypnąłem go.

Wreszcie nadeszła moja kolej.

Byłem tak roztargniony, że zapomniałem, po co przyszedłem. Na szczęście zabrałem karteczkę z notatką mamy.

— Proszę o „Wesele" Wyspiańskiego — przeczytałem.

— Wesele jest Boryny — wtrącił braciszek, który ni stąd, ni zowąd wyrósł pomiędzy mną a stolikiem.
— „Wesele Boryny" to Reymonta — wyjaśniła pani bibliotekarka.
— Reymonta to są „Chłopi" — odrzekł braciszek.
Zupełnie zgłupiałem słuchając tego dialogu, a ludzie się śmiali. Dobrze, że pani bibliotekarka nie straciła głowy.
— „Wesele Boryny" to odcinek serialu telewizyjnego według powieści Reymonta zatytułowanej „Chłopi". Oglądałeś go pewnie, co? — zapytała pani braciszka, a on milczał w skupieniu. Wiedziałem, że dojrzewa w nim nowe pytanie, więc szybko podziękowałem za podane mi „Wesele" Wyspiańskiego i wybiegłem.
— Poczeeekaj! — wołał za mną, a ja rwałem nielitościwie naprzód.
— Co to jest Wyspa... Wyspa... —wrzeszczał na całe osiedle, więc przystanąłem.

— Żebyś mi się nigdy więcej nie wtrącał, kiedy ja coś załatwiam — powiedziałem mu dobitnie.

Pod wieczór pobiegłem do Pawła.

— I co? I co? — dopytywałem. — Było UFO?

— Dioda w ogóle nie przyszła na spotkanie, a pojazdu też nie było — powiedział z rozczarowaniem w głosie. — Grzegorz poszedł na peryferie, żeby zobaczyć, czy Dioda jest u siebie w domu.

— Wejdzie do niej?

— Mówił, że tak, że niby pożyczyć książkę. Ale jeszcze nie wrócił, przed chwilą dzwoniłem do niego.

Ledwie dokończył te słowa, jak u drzwi rozległ się dzwonek.

— Grzegorz!

I rzeczywiście to był on.

— Widziałeś ją? — spytaliśmy jednocześnie.

— Nie, ale zajrzałem do pokoju przez nie dosuniętą zasłonę. Widziałem tylko półkę z książkami. Siedział na niej wielki kot i ścierał kurz. Potem Dioda uchyliła okno, lecz zasłonkę zaciągnęła do końca i nic już więcej nie mogłem zobaczyć. Za to słyszałem.

— Słyszałeś? Ćo słyszałeś?

— Jak nadawała szyfrem.

— Nadawała? No mówże! —policzki z ciekawości paliły mnie jak ogniem.

— Właściwie to nie nadawała, tylko mówiła jakieś hasła. Nie mogłem zrozumieć, to było jakby po murzyńsku, jakieś bu, bu, bambu czy coś w tym rodzaju i takie tam ecie pecie.

— Tylko tyle? — Paweł był najwyraźniej zawiedziony.

— Aha, a potem podlewała kwiatki na oknie i znów nie zaciągnęła do końca zasłony. Widziałem gruby czerwony brulion na biurku. Otworzyła go, coś pisała, a potem szeptała do siebie, a potem zdjęła z ucha mikrofon-kolczyk i patrząc w kulę znów coś mówiła, jakby przekazywała w kosmos to, co sobie przedtem zapisała w tym brulionie.

— A widzicie? Zawsze mówiłem, że te kolczyki nie są zwyczajne! Przez mikrofon nadaje, a przez trąbkę odbiera wiadomości! No tak! Nareszcie jestem w domu! — wołał Paweł.

Na drugi dzień spytałem Diodę, czy lubi zwierzęta.

— O tak! Bardzo. Miałam kiedyś oswojonego jeża, kiedy byłam mała i mieszkałam z rodzicami.

— A tu nic nie masz? Bo ja mam psa — skłamałem.

Spojrzała na mnie tak jakoś podejrzliwie, jakby czuła, że do czegoś zmierzam, i nic nie odpowiedziała.

„Ostrożna...” — pomyślałem.

Na przerwie rozmawialiśmy właśnie z Pawłem i Kaktusem o tajemniczym kocie, który wyciera kurz, i o przekazywaniu wiadomości w kosmos, gdy nadszedł Grzegorz i oznajmił rzecz niezwykłą:

— Wiecie, że w naszej szkole Dioda zorganizowała dziewczę-

cą drużynę piłki nożnej? Trenują podobno już całe cztery tygodnie!

— Cooo?! — oczy Pawła zrobiły się wielkie i okrągłe jak spodki. — Kłamiesz!

Żeńskie drużyny piłki nożnej nie były już nowością, więc nie wiem, czemu tak się zdziwił.

— Nie kłamię — odrzekł Grzegorz. — Chcesz, to możesz sam się przekonać. Dziś po południu będą miały trening.

Zaraz po obiedzie wybraliśmy się we czwórkę do szkoły. Okno sali gimnastycznej było otwarte i ledwie zbliżyliśmy się do niego, wpadły nam w uszy słowa trenera:

— Slalom! Raz lewą nogą, raz prawą i dośrodkowanie! Taaak! Świetnie, brawo!

Paweł pobiegł szukać jakiejś skrzynki czy kloca, żeby podstawić pod nogi, bo okno było dość wysoko, a słyszeć, to przecież mało, trzeba zobaczyć, kto jest w tej drużynie.

Ach, te dziewczyny! Jak to się stało, że przez miesiąc nic o tym nie wiedzieliśmy? A mówią, że one nie potrafią niczego utrzymać w tajemnicy...

— Zwód i strzał! — donosił się głos trenera.

— Przedszkole — z lekceważeniem machnął ręką Kaktus. — Ćwiczą dopiero elementy gry. Nieprędko rozegrają swój pierwszy mecz.

— Nie bądź takim pesymistą — rzekłem. — Już one się postarają!

— Nie chwytać ręką! To piłka nożna, a nie ręczna! No, żwawiej, śmiało! — wołał trener.

W sali gimnastycznej szurało, dyszało, strzelało i klapało.

— Z kozła, z kozła strzelać główką! Taaak, kozioł i główka! Strzał do bramkarza, do bramkarza! A teraz kozioł i główka! Nie chwytać ręką, z kozła strzelać główką! — padały komendy trenera.

Ciekawość nasza rosła z minuty na minutę, a Pawła jak nie było, tak nie było. Wreszcie nadszedł.

— Nie ma ani klocka, ani skrzynki. Musimy zrobić piramidę. Kto pierwszy na górze?

— Najsilniejszy jest Paweł — odezwałem się — powinien być

być na dole, na nim Kaktus, a na Kaktusie ja. W końcu jestem najmniejszy.

Bardzo chciałem zobaczyć, jak Dioda kopie piłkę. Siadłem na Kaktusie i przywarłem do parapetu. Sala gimnastyczna jarzyła się światłem, podłoga błyszczała jak lód, a po tym „lodzie" zwinnie uwijały się dziewczynki. Wszystkie z szóstych klas. Z naszej klasy, szóstej „c", były tylko Dioda i Bukwa, reszta z „a", „b" i „d". Pod ścianą na ławce siedziały przyszłe adeptki dziewczęcej drużyny.

— No co się gapisz i milczysz? Zatkało cię? Powiedz, co tam widzisz! — niecierpliwił się Kaktus. — Złaź już, teraz ja chcę zobaczyć.

Paweł znów podpierał, ja wszedłem na Pawła, a na górze usiadł Kaktus.

— Ojej, chłopaki! Co za niezdary! Żebyście widzieli! To

nawet nie przedszkole, to żłobek — co mówiąc zeskoczył. — Możecie sobie darować ten widok — powiedział do Pawła i Grzegorza.

— Nie daruję! — uparł się Paweł. — Grzegorz na spód, na nim Kaktus, a potem ja — zarządził.

Paweł przyglądał się chwilę dziewczynkom.

— Oczywiście Dioda jest najlepsza! Ale Bukwie też nieźle idzie. Dziewczyny z naszej klasy są tu najzdolniejsze — orzekł już na ziemi.

— Ee, ruszają się jak muchy w słoiku po miodzie — drwił Kaktus.

Wreszcie na szczyt piramidy dostał się Grzegorz, ale ja już nie słuchałem, co mówił. Myślałem o Diodzie. Wyglądała dziś bardzo ładnie w granatowych spodenkach i czerwonej koszulce. Na nogach miała granatowe skarpetki i trampki, tak piękne, jak żadna z dziewczynek. Pewnie dlatego Dioda mi się podobała, że wyglądała pośród gromadki piłkarek jak chłopak. Oczy jej błyszczały i po raz pierwszy widziałem na jej policzkach rumieńce. „O, Diodo, żebyś ty była ziemską dziewczynką!" — modliłem się w myślach.

— ... chyba czary — dobiegły mnie w tym momencie słowa Grzegorza. — Piłka przy jej nodze chodzi jak przyklejona. I ten strzał! Nie wiem, czy Boniek oddałby go lepiej...

Nastawiłem zachłannie uszu. „Więc jednak nieziemska..." — przeleciało mi przez głowę.

Cały wieczór myślałem tylko o Diodzie i nawet napisałem o niej wiersz, ale nie będę go tu przytaczał, bo się wstydzę. Zresztą podarłem go i wyrzuciłem. Zapamiętałem tylko jedną zwrotkę:

Pada deszcz, a ja siedzę przy otwartym oknie

I patrzę, jak na dworze wszystko wokół moknie.

A we mnie ogień się pali, wielki pożar właśnie...
Czy kiedy wyjdę na deszcz, to ten pożar zgaśnie?

Coś mi mówiło, że dobrze byłoby wyjść na deszcz i ugasić ten pożar, więc wybiegłem. Za mną goniła mama z parasolem, ale ja

Jednak ci dorośli nie rozumieją, że czasem człowiek bardzo by chciał porządnie zmoknąć.

— Podobno zorganizowałaś drużynę piłki nożnej — zwrócił się Kaktus następnego dnia wprost do Diody.
— Ja?
— Trenujesz codziennie popołudniami w sali gimnastycznej i inne dziewczyny z szóstych klas.
— Kto ci o tym powiedział?
— Nikt. Sam widziałem.
— Widziałeś? — Dioda wyraźnie stała się bledsza i oczy jej jakby się zwęziły.
— Nic nie widział —wtrąciłem szybko, bo nie chciałem, żeby się niepokoiła. Zresztą po co się mamy dekonspirować? Lepiej, żeby nie wiedziała, że ją śledzimy. Stanie się wtedy jeszcze bardziej ostrożna i skryta. Mrugnąłem więc znacząco na Kaktusa za jej plecami. Domyślił się w mig i nic już więcej nie mówił, a ja dodałem:
— Nie znasz Kaktusa? Jak zwykle się zgrywa.

O tym, że w naszej szkole powstała dziewczęca drużyna piłki nożnej — dzisiaj wiedzą już wszyscy. I najpewniej okoliczne przedszkole, do którego wieść tę zaniósł mój braciszek z grupy starszaków. Słyszał przecież naszą rozmowę u mnie w domu, kiedy z chłopakami wróciliśmy spod okna sali gimnastycznej.

Nowe wydarzenia tymczasem odwróciły naszą uwagę od drużyny piłkarskiej dziewcząt. W ogóle ostatnio w naszej klasie wciąż się działo coś nowego. A to Bukwa po raz pierwszy w życiu dostała zamiast piątki — czwórkę z klasówki z rosyjskiego i przepłakała z tego powodu całą lekcję, a to Pyza zabłysnął wprost fenomenalnie na historii, z której do niedawna obrywał tylko dwóje, to znów ktoś puścił w obieg po klasie śmieszny wierszyk o Zającu, a na zajęciach technicznych chłopców krążyła

po pracowni karteczka z prośbą o dopisanie rymów do „Dioda”. Były tam już takie słowa, jak: woda, doda, moda, szkoda, poda, kłoda i tym podobne.

Największe wydarzenie jednak miało dopiero nastąpić, ale zanim nastąpiło, poprzedziły je inne.

We wtorek Dioda zachowywała się inaczej niż zwykle. Parę razy znikała nam w czasie przerw z oczu, a po dużej przerwie widzieliśmy, jak wychodziła z redakcji gazetki szkolnej. Co tam robiła? Chcieliśmy ją o to zapytać, lecz nie mieliśmy odwagi zbliżyć się do niej, bo była bardzo zamyślona.

— Muszę się dziś wybrać na peryferie — powiedział Grzegorz. — Dawno tam nie byłem. Może wreszcie wpadnę na coś bardziej konkretnego.

— A może pójdziemy wszyscy? — Paweł najwyraźniej miał chęć na tę wyprawę.

Umówiliśmy się, że po odrobieniu lekcji, mniej więcej o szóstej, zbierzemy się u Grzegorza i razem wyruszymy.

Specjalnie ubraliśmy się w ciemne kurtki, żeby wieczorem nie było nas widać. Śnieg jeszcze nie spadł, choć było zimno. Ukryliśmy się w zaroślach wokół ogrodzenia domu, w którym mieszkała Dioda. Mieliśmy dobry widok na całe podwórze i okno jej pokoju — niestety, pogrążone w ciemności.

— Pewnie gdzieś wyszła — szepnąłem. — Chodźmy stąd...

— Nie. Zaczekamy, aż wróci! — nie ustępował Grzegorz.

Moja ciepła kurtka była zbyt jasna, żeby ją włożyć na tę wyprawę, więc wziąłem lekką, granatową i zaczynałem już marznąć. Niebawem jednak okno pokoju Diody rozbłysło światłem i zobaczyliśmy ją z kotem na rękach. Weszła głębiej, posadziła kota na półce, pewnie żeby wytarł kurz, a sama usiadła przy biurku, wzięła czerwony brulion, otworzyła go i zdjęła kolczyki.

— Zaraz będzie przekazywać — w głosie Grzegorza zabrzmiało podniecenie.

Dioda jednakże nie przekazywała, tylko jakby przeczuwając,

że ktoś ją podgląda, nagle podeszła do okna i zasunęła zasłonę tak szczelnie, że nic nie było widać. Krótko potem skrzypnęły drzwi wejściowe, uchyliły się lekko i znów zamknęły.

— Czmychamy — rzekłem cicho — ona coś przeczuwa i zaraz tu przyjdzie. Gdyby tak się stało, spaliłbym się ze wstydu...

— Co też ci przychodzi do głowy? Przecież nas nie widziała i nie słyszała — odszepnął Paweł. — A poza tym zdaje się, że nikt z domu nie wyszedł.

Siedzieliśmy tak jeszcze parę minut, aż znów skrzypnęły drzwi wejściowe i zapaliła się na chwilę żarówka nad nimi, a potem zgasła. Zdążyliśmy jednak zauważyć, że na podwórze wyszła Dioda w samym sweterku. Potem w jej ręku rozbłysła latarka, Dioda chodziła wokoło i jakby dawała jakieś sygnały, bo światło to gasło, to zapalało się i zataczało szerokie kręgi. Nawet dobiegł nas jej głos: „Bambuu...” Mówiła cicho, bo pewnie się bała, że ktoś niepowołany może ją usłyszeć.

Tkwiliśmy pośród żywopłotu jak trusie, nie śmiejąc oddychać. Mogłaby przecież nas wykryć — może ma ósmy zmysł?

Nagle dał się słyszeć warkot w górze. Samolotu lub jakiegoś innego pojazdu? — nie wiedzieliśmy. Oczy nasze skierowały się ku niebu. Płynęły po nim granatowe chmury i nic nie było widać. Po długiej chwili dopiero dojrzeliśmy małe czerwone i niebieskie światełka. To był samolot, leciał wysoko i wtedy Dioda skierowała promień swojej latarki w niebo.

— Daje sygnały świetlne — szepnął ledwie słyszalnie Grzegorz. — Patrzcie!

Dioda kręciła latarką, wiodła jej światłem wzdłuż linii lotu, wreszcie wszystko ucichło i nastąpiła ciemność. Znikł samolot i zniknęła Dioda.

— No chodź, prędko... — dobiegł nas jej głos.

— To wylądował niewidzialnie przybysz z kosmosu — orzekł Grzegorz, kiedy za Diodą zamknęły się ze skrzypem drzwi wejściowe.

Paweł podniósł się.

— Koniec spektaklu. Zmywamy się.

Teraz już nie czailiśmy się. Zachrupały łamane gałęzie, wy-

skoczyliśmy z chaszczy i pognaliśmy ulicą — dla rozgrzewki. Zmarzliśmy bowiem i zesztywniały nam nogi.

„A jednak jesteś tajemniczą dziewczynką” — pomyślałem z żalem. — „Jesteś inna i niezwykła, nigdy ci nie dorównam i nigdy nie poznam bliżej. Nigdy się ze mną nie zaprzyjaźnisz, odlecisz na swoją planetę, bo cóż dla ciebie znaczy taki zwyczajny chłopiec jak ja, który łapie dwóje, nie umie matematyki ani fizyki, nie potrafi zrobić w przyszłości żadnego wynalazku, ba, chłopiec, który boi się wystąpić przed szkolną publicznością i któremu trzeba pomagać w deklamowaniu wiersza...”

— Cześć — powiedziałem, kiedy zbliżyliśmy się do bloku na osiedlu, w którym mieszkał Paweł.

— Zaczekaj, wejdźmy na chwilkę do mnie i omówmy wydarzenia — poprosił Paweł.

— Nie mogę. Muszę jeszcze odrobić polski — skłamałem. Nie chciałem, żeby wiedział, że straciłem humor, że jest mi smutno i źle i że chcę być teraz sam.

— Nie to nie. — Paweł spojrzał na zegarek. — Obgadamy to zresztą jutro, bo już prawie ósma.

Rozeszliśmy się — każdy w swoją stronę.

W piątek, niczym piorun w słoneczny dzień, gruchnęła w klasie wieść, że Dioda opublikowała w gazetce szkolnej — nie klasowej! — swój własny wiersz. „Jak to?” — pomyślałem. „To ona i to potrafi?” Teraz dopiero zrozumiałem, po co chodziła do redakcji w szkole.

Dziewczynki, które już zdążyły przeczytać wiersz Diody w gablotce na parterze, w dużym holu, gdzie odbywaliśmy codzienne apele przed rozpoczęciem lekcji, gratulowały autorce i można powiedzieć — popatrywały na nią jakby z większym szacunkiem i podziwem. Po fizyce pobiegliśmy z chłopakami na dół, ale przy gazetce było tak tłoczno, że nawet na dużej przerwie nie zdołaliśmy się do niej przecisnąć. To nic, myślałem, zostanę po lekcjach i przeczytam. Byłem bardzo ciekaw, o

czym Dioda napisała. O miłości to już na pewno nie, więc może o sporcie? Albo o jesieni? Ach, co tam będę zgadywał, równie dobrze mogła napisać o zimie, jak i o kosmosie.

Na lekcji języka polskiego, która dziś była w planie ostatnią godziną nauki, pani powiedziała do Diody:

— Gratuluję ci, Aniu. Twój sonet w gazetce szkolnej bardzo mi się podoba. Forma wiersza, jaką wybrałaś, jest trudna i dziś rzadko kto już z niej korzysta.

Dioda skromnie spuściła oczy. Wyglądała tak, jakby się zaraz miała rozpłakać. „Oj, niedobrze" — pomyślałem — „jest dziś taka krucha, gdzież się podziała jej nieziemska moc?"

Kaktus wyciągnął dwa palce w górę:

— Proszę pani, nie mogliśmy się docisnąć do gazetki i nie znamy tego wiersza. Czy pozwoli nam pani teraz zejść na dół i przeczytać go, kiedy w holu nikogo nie ma?

Najwidoczniej chciał sobie skrócić dzień szkolny. Pani jednak nie dała się przechytrzyć.

— Czy jeszcze ktoś z was pragnie zaznajomić się z wierszem Ani? — spytała podstępnie.

Natychmiast wyrósł las rąk, a dobrze wiedziałem, że pół klasy już go zna.

— Doskonale! — rzekła pani. — Przeczytamy go tu na lekcji, zwłaszcza że mam w planie na dziś omówienie niektórych gatunków literackich. No ale musimy przecież najpierw zapytać autorkę o zgodę...

— Zgadzam się — odrzekła Dioda. — Sama go powiem z pamięci.

Po klasie przeszedł szmer, zaskrzypiały krzesła, wszyscy obrócili się w kierunku Diody. Dioda wstała. Mówiła cicho, ale słyszalnie, jak aktor na scenie:

Jeszcze słońce nie wpadło w czarną kieszeń nocy, już

już platynowy talerz po przestworzu toczy i o miejsce w błękicie ze słońcem się spiera.

I tak walczą ze sobą dwa światła niebieskie, słońce nie chce ustąpić, z księżycem się droczy, aż pokonane straci cały blask królewski, wtedy księżyc się stroi w gwiazd miliardy oczu.

Budzi we mnie nadzieję ta zmienność błękitu, gdy się okrywa cieniem, nim wpadnie w srebrzystość i chciałabym cierpliwie poczekać do świtu,

zobaczyć, jak przygasa księżyca świetlistość, jak ze wstającym słońcem mroki się szamocą, jak dzień zatryumfuje nad schodzącą nocą.

Przez chwilę trwała niczym nie zmącona cisza. Dioda usiadła i podparła dłonią policzek. Patrzała w otwarty zeszyt do języka polskiego. W moją stronę nawet nie spojrzała. A tak pragnąłem wyrazić jej swą radość, że ułożyła ładny wiersz...

Pierwszy przerwał ciszę Kaktus:

— Ona tego sama nie napisała.

Po klasie przebiegł szmer — trudno powiedzieć, aprobaty czy dezaprobaty? Spojrzałem na Diodę. Wydało mi się, że oczy jej zaszkliły się łzami. Zląkłem się.

— Dioda... — szepnąłem — nie płacz, nie pokaż im, że masz słaby punkt, Dioda...

Tymczasem wokół Kaktusa zakotłowało się przez moment. To Zając dał mu kuksańca w bok, a że wszystko natychmiast ucichło, pani udała, że tego nie widzi.

— Uzasadnij swoje zdanie — zwróciła się pani do Kaktusa.

— Ja... ja... nie potrafię... wiersz jest zbyt trudny, może go skądś odpisała.

Na pulpit Diody kapnęła łza, ale nikt tego nie zauważył, gdyż wszyscy patrzyli teraz na Kaktusa, więc szybko wytarłem łzę rękawem.

— Dlaczego mnie nie lubicie? — szepnęła Dioda i spojrzała na mnie tak przejmująco, że miałem ochotę wstać i zbić Kaktusa na kwaśne jabłko.

— Przeciwnie, podziwiamy cię, nie płacz tylko, wszystko ci po lekcjach wyjaśnię...
— Mogę prosić o głos? — odezwał się Paweł.
Pani kiwnęła głową przyzwalająco.
— Wiersz zawiera błąd merytoryczny — powiedział uczenie. — Księżyc wcale nie wchodzi na niebo, jest tam przez cały czas. Przy słabym słońcu widać go całkiem wyraźnie w ciągu dnia. Po co miałby walczyć o miejsce?
Pani uśmiechnęła się. Może nawet się roześmiała.
— Zdaje się, że jeszcze ktoś chce zabrać głos, proszę.
Teraz wstał Grzegorz.
— W wierszu jest o nadziei, że po nocy będzie dzień, ale przecież dzień nie trwa wiecznie, bo po nim znowu przyjdzie noc.
— Czy jeszcze ktoś chce wziąć udział w dyskusji? — zapytała pani.
— Ja — odezwała się Bukwa. — Po pierwsze, co do wypowiedzi Kaktu..., przepraszam, Tomka, to chcę wyjaśnić, że Dio..., przepraszam, Ania, ma cały gruby brulion pięknych wierszy i ten sonet na pewno napisała samodzielnie.
— Ja też jestem tego pewna — wtrąciła pani.
— Po drugie — ciągnęła Bukwa — Paweł nie wziął pod uwagę licentii poetiki, to jest...
— Chi chi chi! — zachichotał na cały głos Kaktus.
Pani spojrzała na niego karcąco:
— Dlaczego się śmiejesz?
— Bo ona znów o tej licencji...
Pani obróciła się ku tablicy. Widziałem, jak lekko drżały jej plecy — chyba od śmiechu. Potem napisała kredą dużymi literami:

LICENTIA POETICA

i dodała: — Wyjaśnię wam to później. Proszę, mów dalej — zwróciła się do Bukwy.
— Paweł nie wziął pod uwagę licentii poetiki — wymądrzała się Bukwa — to znaczy praw rządzących poezją. Słońce też jest

przez cały czas na niebie, a mówimy o nim, że wschodzi i zachodzi. Co do wypowiedzi Grze...

— Brawo, Bukwa! — zawołały dziewczynki. — Brawo, Dioda! — i wszystkie zaczęły klaskać. Więc my też klaskaliśmy.

— A teraz przejdźmy już do lekcji — pani usiadła i otworzyła dziennik.

W klasie ucichło. Po chwili zaszeleściły zeszyty, a potem Dioda otrzymała zwiniętą w rulonik karteczkę. Wygładziła ją i podsunęła w moim kierunku. Przeczytaliśmy ją razem: „Przepraszam cię, Diodo. Jestem świnią. Kaktus."

Dioda uśmiechnęła się do mnie.

— A widzisz? — szepnąłem. — Mówiłem ci...

Wydała mi się znowu zwykłą dziewczynką. „Kontakty z UFO to są bzdury wymyślone przez Grzegorza" — przeleciało mi przez głowę. „Zawsze miał skłonności do fantazjowania, zawsze wszystko wyolbrzymiał i przesadzał, tak, tak, tam na podwórzu nic się przecież niezwykłego nie wydarzyło... Że Dioda poświe-

ciła w górę, kiedy przelatywał jakiś samolot? Cóż w tym dziwnego? A wyszła z latarką, bo..."

— Powie Piotr — dobiegł mnie głos pani.

Piotr to ja, więcej Piotrów w klasie nie było. Nie wiedziałem, o co chodzi, tak odbiegłem myślami. Zrobiłem się czerwony — pani to zauważyła. Na szczęście rozległ się donośny dzwonek na przerwę. Byłem uratowany.

Po lekcjach Dioda szybko odjechała na wrotkach do domu. Wróciłem ze szkoły zawiedziony, myślałem bowiem, że może zechce ze mną porozmawiać i będę mógł ją odprowadzić chociaż kawałek. W uszach wciąż mi brzmiał sonet, może nie tyle sonet, ile niski, przyciszony głos Diody. Widziałem jej oczy nabiegłe wilgocią i wielką łzę na pulpicie. Nie mogłem sobie z tym wszystkim poradzić i nagle zapragnąłem napisać wiersz. Próbowałem i tak, i siak, ale nic nie wychodziło. Zabrałem się więc do lekcji. Utknąłem przy zadaniach z matematyki. Nie potrafiłem ich rozwiązać. Ani jednego. Zrobiło mi się smutno. Nic nie potrafię, jestem do niczego. Pomyślałem o swoich dwójach i o klasówce z fizyki, i o zbliżającym się półroczu, i tak się rozżaliłem nad sobą, że wziąłem długopis i napisałem:

Słońce świeci wesoło,
jak ogień się pali, a we
mnie smutek, powódź w
mojej duszy i raczej
słońce ugaszę w mym
żalu, niż ono we mnie
morze łez osuszy.

Ee, czy ta grafomania może się równać z sonetem Diody? Podarłem kartkę, spakowałem książki do torby na jutro i pobiegłem do Pawła. Nie mogę, nie powinienem się roztkliwiać. Ten wirus pisania wierszy, ta epidemia poezji pochodzi od Diody. To ona sprawiła, że się rozmazałem jak Bukwa po ostatniej klasówce z rosyjskiego. Tak, Dioda jest nieziemska i trzeba się jej strzec! Na pewno ma kontakty z UFO i nas

szpieguje. Trąbka przy uchu i mikrofon, i czerwony brulion... Grzegorz ma rację. Wszystko wskazuje na to, że ona jest nie z tej planety — szeptałem do siebie z zapamiętaniem, czując, że tak całkiem to sam nie wierzę w swoje słowa.

— Jakiego koloru jest ten brulion, w którym Dioda zapisuje wiersze? — zapytałem któregoś dnia Bukwę, kiedy pełniliśmy w czasie przerwy dyżur w klasie.

— Czerwonego. Czemu cię to interesuje?

Nic nie odpowiedziałem i wybiegłem z klasy. Na korytarzu cofnąłem się.

— Idę po kredę! — zawołałem uchyliwszy drzwi. Moje nagłe wyjście mogłoby wzbudzić w Bukwie różne domysły i wydać się jej dziwne. „Więc ten czerwony brulion wtedy na biurku mógł być brulionem z wierszami" — błąkało mi się po głowie. Oczvwiście powiedziałem o tym chłopakom.

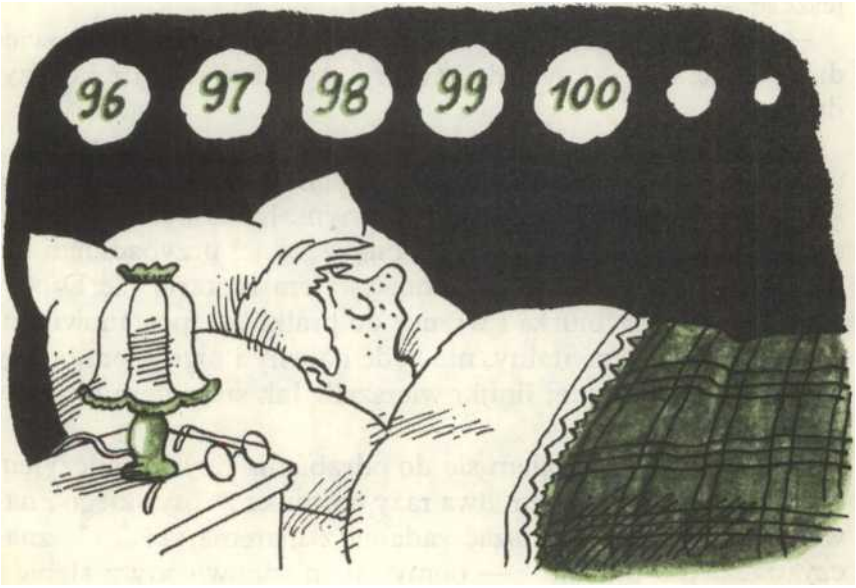

— A czy to uczeń miewa tylko jeden czerwony brulion? — roztropnie zauważył Grzegorz. — Ja na przykład mam wszystkie bruliony czerwone.

Pewności jednak nie miałem, czy w brulionie Diody wtedy na biurku były wiersze, czy też może „kosmiczny szyfr", jak to określał Grzegorz. Pisuje wieczorami te swoje wiersze, szepcze do siebie, bo chce usłyszeć, jak brzmią, kreśli, myśli, wpatruje się w szklaną kulę i bawi się kolczykiem. „Lecz co z tą kulą?" — nagle zastanowiłem się. „Nie wiemy przecież o niej nic."

Nazajutrz podzieliłem się swoimi refleksjami z Pawłem i Grzegorzem.

— Nie rozumiem, dlaczego koniecznie chcesz, żeby ona nie miała kontaktów z UFO? — roześmiał się Grzegorz. — Koniecznie chcesz, żebyśmy ją traktowali jak inne dziewczyny z klasy. Dioda jest niezwykła, to przecież widać, a przysłano ją tu z innej planety, żeby zebrała wiadomości z życia szkoły na Ziemi. .Oto cała prawda!

Zabrzmiało to nawet dość przekonywająco.

— Ona się stara być do nas podobna i czasem jej się to udaje, i dlatego masz wątpliwości, bo to cię wprowadza w błąd — dodał jeszcze.

— Zawsze byłeś naiwny i sentymentalny, żeby nie powiedzieć dziecinny — stwierdził autorytatywnie Paweł i zakończył dyskusję.

„To prawda" — myślałem. „Zawsze byłem łatwowierny i uczuciowy. Muszę się mieć na baczności. Człowiek powinien się kierować rozumem i zawsze być czujnym. Jak Dioda... Tę bluzę szkolną, którą ukryłem przed mamą, żeby jej przypadkiem nie wyprała, bo na rękawie przechowywałem roztartą łzę Diody, zaraz wyciągnę z biurka i wrzucę do pralki" — postanowiłem. „Nie będę sentymentalny, nie będę naiwny i nigdy, przenigdy nie napiszę ani jednej linijki wiersza!" Jak się potem okazało, dotrzymałem słowa.

Rześko i raźno wziąłem się do odrabiania fizyki, nauczyłem się historii, przeczytałem dwa razy czytankę z rosyjskiego i nawet udało mi się rozwiązać zadania z matematyki. „Co znaczy trzeźwość umysłu" — pomyślałem zadowolony z siebie i

I

poszedłem spać. Żeby się nie skusić na myśli o Diodzie, zacząłem liczyć. Gdzieś koło setki zasnąłem. Nic mi się nie przyśniło.

Aniśmy się obejrzeli, jak nadeszło półrocze. Nasze wyniki w nauce były bardzo mizerne. Na lekcji wychowawczej pani powiedziała, że my, chłopcy, sprawiliśmy jej ogromny zawód. Podkreśliła też, że wiele dziewczynek, które dotąd były ledwie dobrymi uczennicami, poprawiło swoje stopnie, i jeśli tak dalej będą pracowały — mogą się znaleźć niebawem w gronie najlepszych uczennic. Nie zapomniała też o Pyzie, który ma same piątki z historii, i o Kasi, która nie dostała ani jednej dwói. Potem wymieniła nazwiska chłopaków, którzy muszą zdać po przerwie ziniowej egzamin poprawkowy z matematyki. Wśród nich byłem także ja.

Staliśmy we czwórkę, Paweł, Grzegorz, Kaktus i ja, pod

ścianą korytarza, na dużej przerwie z bardzo smętnymi minami. I oto, wyobraźcie sobie, po raz pierwszy podeszła do nas Dioda.

— Nie martwcie się — powiedziała. — Nie jadę na zimowe wakacje do rodziców. Przychodźcie więc do mnie codziennie na dwie-trzy godziny i będziemy się razem uczyć.

W pierwszej chwili (widziałem to wyraźnie) Pawła — zeszłorocznego zwycięzcę konkursu klasowego z przedmiotów ścisłych — o mało nie zalała wściekła złość. Opanował się jednak. Zresztą w głosie Diody było tyle skromności, co życzliwości dla nas. Nie pamiętała nam, widać, naszych złośliwych figli, jakie płataliśmy jej od czasu do czasu.

— Nno dobrze, przyjmujemy twoją propozycję — odparł niby z namysłem Paweł, a my za nim.

Jestem pewien, że powodowała nami ciekawość zobaczenia z bliska owej szklanej kuli, tajemniczego kota, obręczy, którą Dioda wkłada na noc na głowę i w ogóle wszystkiego, co jest w jej pokoju.

Od słowa do słowa ustaliliśmy, że będziemy co dzień o dziesiątej przed południem przyjeżdżać do niej na lekcje.

Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy zobaczyliśmy tajemniczą przeźroczystą kulę. To było akwarium w kulistym szklanym wazonie na kwiaty. Pływały w nim czerwone mieczyki i roślinki zasadzone w piasku na dnie, a na środku leżała skałka.

— Podoba wam się? — spytała Dioda widząc, że tak się wpatrujemy w jej akwarium. — Lubię sobie popatrzeć na rybki — dodała. — To regeneruje psychikę.

Tak właśnie powiedziała: „regeneruje psychikę”, a ja pomyślałem: „i daje ci natchnienie”.

Grzegorz i Kaktus pilnie penetrowali oczyma wszystkie zakamarki pokoju. Pewnie szukali metalowej obręczy z przewodami. Sam byłem jej ciekaw, ale nie śmiałem tak się rozglądać, choć Paweł w tym czasie zręcznie zagadywał Diodę, żeby odwrócić jej uwagę od nas.

— A co to za kółko? — spytał niewinnie Grzegorz, zobaczywszy półobręcz z plastyku na szafce u wezgłowia tapczanu.
— To wkładam na noc, żeby przytrzymać włosy. Nie lubię, jak mi odstają. Bardzo się wiercę w czasie snu.
— Podobno sypiasz na podręcznikach — ośmielił się powiedzieć wprost Kaktus.

Dioda roześmiała się.
— A skąd wy to wiecie? Kładę je pod poduszkę z wiarą, że wszystko, czego się nauczyłam w dzień, lepiej mi się utrwali w pamięci.
— To przecież bajka! — zawołałem. — Tyle razy kładłem sobie pod głowę zadawane wiersze i rano zawsze czegoś tam nie pamiętałem.
— Tak, oczywiście — zaśmiała się Dioda. — Bardzo bym chciała w przyszłości zbudować urządzenie wzmacniające pamięć, ale do tego trzeba dużej wiedzy. To takie moje marzenie — spojrzała na mnie.

Poczułem, że robię się czerwony, więc udałem, że zaciekawiła mnie nagle jakaś książka na półce. Wyciągnąłem pierwszą z brzegu. Był to „Podręcznik radioamatora".

Wtem, ni stąd, ni zowąd, jakby przestraszony, skoczył na najwyższą półkę kot i machając ogonem muskał grzbiety książek. „Wyciera kurz" —uśmiechnąłem się w duchu. W pierwszej chwili chciałem go pogłaskać i już nawet wyciągnąłem rękę, ale zląkłem się i cofnąłem ją.
— Nie bój się — rzekła Dioda — to łagodny kotek. Nie drapie. No, chodź, Bambuła — i zdjęła kota z półki.

Spojrzeliśmy znacząco po sobie.
— Dzi...dziwne... imię — bąkał Grzegorz. — Barn... Bambuuuła?

Jestem pewny, że wszyscy czterej pomyśleliśmy o tym samym.
— Skąd ci takie imię przyszło do głowy? I w ogóle, jak się tu nagle znalazł ten kot? — Paweł nie tracił przytomności umysłu, tylko podstępnie dążył do wyświetlenia tajemnicy.
— Ach, to zwykły przypadek — odparła.

— Opowiedz — nalegał Paweł. — Nigdy nie słyszałem takiego imienia.
— Nie chciałabym was zanudzać. Zresztą najwyższy czas zabrać się do matematyki.
— No wieeesz! Pierwszego dnia ferii możemy sobie pezjvolić na małą pogawędkę — czarował Paweł, a ja aż się spociłem z ciekawości.
— No to może wreszcie usiądziecie? Przecież cały czas stoimy — zaśmiała się Dioda i usadowiła się na fotelu przy półce z książkami. Rozsiedliśmy się na kanapie, a Dioda zaczęła opowiadać:
— Moi przyjaciele znaleźli małe kocię na dworze któregoś grudniowego popołudnia. Przygarnęli więc je i nazwali Filipinką. Kiedy Filipinka urosła, obdarzyła ich kociętami. Moi przyjaciele mieszkali w mieście, a ja na wsi, mimo to często odwiedzaliśmy się, gdyż nasi rodzice również byli zaprzyjaźnieni. Pewnego razu tatuś przywiózł mi od nich w prezencie na imieniny tego kotka. Był malutki, miał zaledwie pięć czy sześć tygodni, ale już potrafił sam pić mleko. Nie wiedziałam, jak go nazwać. Chciałam dać mu jakieś niepospolite imię. Tatuś się ze mnie śmiał i mówił, żebym wiele nie myślała, tylko nazwała go zwyczajnie Mruczkiem, a jeden z moich przyjaciół zaproponował dać mu na imię Filip. Nie mogłam się na to zgodzić, bo mam stryja Filipa. Któregoś wieczoru siedzieliśmy w domu przy kolacji, gdy nagle rozległ się donośny płacz mojej siostrzyczki. Wypadła jej bułka i potoczyła się po podłodze.
— Barn buła, barn buła! — mówiła rozkładając bezradnie rączki.
— Mam! — krzyknął tatuś.
— Co masz? — spytała mama.
— Imię dla kota!
— Jakie?! — zawołaliśmy.
— Bambuła. Jest niezwykłe.

No i tak już pozostało — zakończyła Dioda.

Roześmialiśmy się, bo cała ta historia wydała nam się dość zabawna. Podwójnie. Domyślacie się zapewne — dlaczego.

„Och, ten Grzegorz!” — pomyślałem. „To przecież on tak

pobudził naszą wyobraźnię, wszyscyśmy ulegli mu jak dzieci” — i spojrzałem na Diodę wesoło. Cieszyłem się, że jednak miałem rację. Nigdy nie wierzyłem do końca w te niezwykłości opowiadane o niej.

Nauka szła nam dobrze. Wyzbywszy się podejrzeń o czary i zwątpiwszy już w kontakty Diody z UFO, całą uwagę skupiliśmy teraz na tym, żeby zdać poprawkę z matematyki.

Do końca ferii pozostały jeszcze tylko trzy dni. Był piątek. Kiedy przerobiliśmy ostatnie obowiązkowe zadania ze zbioru i gawędziliśmy sobie przyjaźnie, rozległ się za oknem warkot silnika.

„Przybysz z kosmosu” — przemknęło mi przez głowę.

Dioda wybiegła na podwórze.

Z ciekawości o mało nie wyszliśmy ze skóry. Przypadliśmy do okna.

Na podwórzu stał zielony fiat 126 p. Z trudem, przy pomocy Diody, wysiadł z niego pan w mundurze leśniczego.

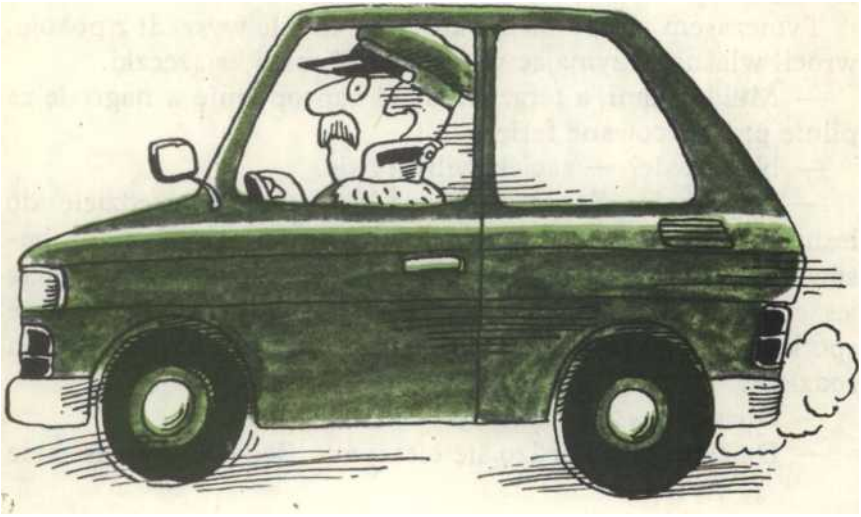

— To inwalida... — szepnąłem.

Było nam zwyczajnie głupio.

Ojciec Diody okazał się bardzo sympatyczny i w przeciwieństwie do niej — rozmowny. Inwalidztwa nabawił się przy wypadku w lesie. Chodził w gorsecie usztywniającym kręgosłup, a zamiast lewej ręki miał protezę. Koniecznie jednak chcieliśmy zobaczyć tył jego głowy, więc pod różnymi pretekstami krążyliśmy po pokoju, ale pan leśniczy usiadł pomiędzy półką i biurkiem, i było to po prostu niemożliwe. Dopiero gdy Dioda przyniosła herbatę i zaprosiła nas do stołu, udało nam się rozwiązać i tę zagadkę. A wiecie, co to było? Nic. Zupełnie nic. Tylko u nasady głowy połyskiwała metalowo klamra od gorsetu.

Oto tajemnica trzeciego oka!

Teraz rozgadaliśmy się na dobre. Grzegorz poprosił, żeby Dioda pokazała mu czerwony brulion z wierszami.

— Możesz go sobie obejrzeć, ale otwierać nie wolno — rzekła z uśmiechem i wyciągnęła brulion z szuflady.

— Dlaczego? — spytałem. — To przynajmniej pokaż mu, że tam naprawdę są wiersze, a nie coś innego...

— Coś innego? A co?

— No, na przykład... pamiętnik — wyręczył mnie Paweł.

Dioda przekartkowała nam pobieżnie brulion. Przeczytać jednak nie pozwoliła.

Tymczasem pan leśniczy, który na chwilę wyszedł z pokoju, wrócił właśnie trzymając w ręce jakieś małe książeczki.

— Moi kochani, a teraz wam coś zaproponuję w nagrodę za pilnie przepracowane ferie.

— Naprawdę? — zaciekawiliśmy się.

— Naprawdę. Zapraszam was na sobotę i niedzielę do leśniczówki. Oto, proszę, plan miejscowości i rozkład autobusów. Niestety, w małym fiacie was nie pomieszczę. Zresztą jeszcze dziś zabieram Anię do domu. Przygotujemy się na wasze spotkanie. Oczywiście najpierw musicie poprosić o zgodę swoich rodziców.

— Huraaa! — zawołaliśmy.

— Dziękujemy. Bardzo się cieszymy. Będą to dla nas takie

małe ferie — powiedział Paweł. Zawsze potrafił dobrze się znaleźć.

Krótko potem pożegnaliśmy się, bo już dochodziła trzecia i czas było wracać do domu na obiad.

Nazajutrz, a była to wolna sobota, mama obudziła mnie bardzo wcześnie. Braciszek jeszcze twardo spał, i mama mówiła, że to dobrze, gdyż byłoby mu żal, że ze mną nie jedzie. Przy łóżku stał plecak, włożyłem tam piżamę, ręcznik, mydło i szczoteczkę do zębów, a mama dorzuciła zapasowe ciepłe skarpetki i kanapki na drogę. Już wczoraj zaczął padać śnieg, padało zresztą przez całą noc i mama martwiła się, czy będą jeździły autobusy. Kiedy na schodach rozległ się tupot nóg moich kolegów, szybko wybiegłem im naprzeciw. Mama i tato pomachali nam przez uchylone drzwi.

Na dworcu autobusowym prawie nie było ludzi. „Może rzeczywiście będzie klops z tymi autobusami, napadało tyle śniegu" —pomyślałem. Na szczęście jednak nie było poważniejszych zmian w rozkładzie i na krótko przed południem dotarliśmy do Uroczyska.

Rodzice Diody, jej starszy brat Michał, ona i młodsza siostrzyczka Monika powitali nas bardzo serdecznie. Po wesołej pogawędce i herbacie z kanapkami pan leśniczy powiedział:

— Dzień jest teraz krótki, a w planie mamy przecież wycieczkę do lasu. Rozwieziemy karmę dla saren. Musimy zaraz się wziąć do roboty, chłopcy!

Michał wyciągnął spod szopy sanki i zaczęliśmy przewozić pojemniki z karmą z obórki na duże sanie konne. Ładowaliśmy buraki, brukiew i siano. Wśród nas uwijał się wyżeł państwa leśniczych, brązowy, biało nakrapiany Nep.

Kiedy wszystko już było gotowe do drogi, Michał ujął lejce, pan leśniczy wsiadł do sań, i ruszyliśmy. Przed nami, raźno poszczekując, biegł Nep. Michał miał na plecach dubeltówkę. Był już dorosły, z dyplomem technika leśnictwa. Pomagał ojcu,

odkąd ten został inwalidą. Ponieważ Michał powoził, musiał iść, mimo zasp, obok sań, a my całą gromadką — z tyłu za saniami. Szliśmy po śladach wydeptanych przez konia i koleinami płóz, gdyż śnieg był dosyć głęboki.

— Na krótko przed waszym przyjazdem słyszeliśmy strzały od strony lasu — powiedziała Dioda. — Sarny i zające są teraz pod ochroną. Tato się martwi, że ktoś kłusował.

— Byłaś kiedyś z ojcem lub bratem na polowaniu? — spytałem. Szła równolegle ze mną drugą koleiną sań.

— Byłam, ale nie strzelałam do zwierzyny, tylko w leśniczówce do tarczy. A ty próbowałeś strzelania?

— W „wesołym miasteczku" do kwiatka — zaśmiałem się. I zaraz o niej pomyślałem: „To i strzelać potrafisz?"

Spojrzałem na nią z boku. Wyglądała bardzo ładnie w czerwonym skafandrze i czerwonej czapce. Na nogach miała kozaczki z wpuszczonymi do środka czarnymi spodniami. Szła raźno, policzki jej zaróżowiły się od wiatru, na rzęsach zatrzymały się płatki śniegu.

Pan leśniczy obejrzał się za nami:

— No co, chłopcy, nie jedziemy zbyt szybko?

— Ależ nie, gdyby Michał wskoczył na sanie i popędził konia, moglibyśmy poćwiczyć bieg na śniegu! — zawołał Kaktus.

Michał stanął z tyłu sań na płozach, machnął batem, a my biegliśmy może ze sto metrów.

Wjechaliśmy głęboko w las. Śnieg gęsto prószył. Małe sosenki wyglądały jak wielkie szyszki. Michał dał mi lejce i jakiś czas powoziłem, ale nie miałem wprawy i o mało nie wjechałem na przykryty śnieżnym puchem kopczyk mrowiska. Oddałem więc lejce Diodzie. Byłem ciekaw, czy potrafi powozić. Oczywiście — robiła to świetnie.

Pierwszy paśnik był pusty. Napełniliśmy go sianem, do korytka wrzuciliśmy trochę buraków i brukwi i pojechaliśmy do następnego.

Tak naprawdę to nie widziałem jeszcze dużego lasu w zimie. Nawet nie przypuszczałem, że może być tak piękny! Jakże mi było żal, że nie mieszkam w leśniczówce...

W lesie było zacisznie i ciepło. Śnieg przyklejał nam się do butów, bo padał obficie i była odwilż.

— Gdyby był mróz — powiedziała Dioda — nie moglibyśmy sarnom dać brukwi i buraków, bo zawierają dużo wody i zmarzłyby na kość, zwłaszcza brukiew.

— Ojej! To co by jadły biedne sarenki? — odezwał się Kaktus udając naiwność.

— Siano, frajerze — Paweł dał mu kuksańca w bok.

— Gdyby teraz nagle chwycił mróz — ciągnęła Dioda — sarny byłyby bardzo nieszczęśliwe.

— Czy dlatego, że zimno? — znów się wygłupiał Kaktus. Wyraźnie miał ochotę na kpinki. Zawsze był taki.

— I że zimno — odparła poważnie Dioda — i że poraniłyby sobie nogi. Są bardzo cienkie i sarny zapadają głęboko w śnieg, kalecząc je do krwi o szklistą skorupę.

Rozwieźliśmy już prawie wszystkie zapasy, gdy nagle Nep zaczął węszyć po ziemi.

— Podjął trop... — Pan leśniczy wziął psa krótko na smycz.

Nep ciągnął na porębę. Dopiero teraz zauważyliśmy niewyraźne, przyprószone śniegiem ślady saren. Było ich bardzo dużo.

— Przechodziły tędy niedawno całym stadem. Widzicie? Śnieg nie zdążył zasypać ich tropów — Dioda pochyliła się nad ziemią.

Michał przywiązał konia do pnia sosny, a pan leśniczy szedł za psem jakieś kilkadziesiąt metrów. Potem nagle stanął i przywołał nas ruchem ręki.

— Farba na śniegu. Ktoś kłusował...

Teraz poszliśmy wszyscy za tropem przez głębokie zaspy. Od miejsca, w którym zatrzymał się pan leśniczy, ślady były znaczone plamami krwi. Zawiodły nas one do trafionego zwierzęcia.

— Sarna... A to łajdak! — oburzył się Michał na kłusownika.

Za porębą, między drzewami, coś mignęło. Patrzyliśmy chwilę w tamtą stronę. Mignęło raz, drugi, trzeci...

— To młoda sarenka! — krzyknąłem. Na dźwięk mego głosu odbiegła spłoszona, ale potem znów ją zobaczyliśmy pośród ośnieżonych krzewów jałowca.

— Postrzelona sarna to pewnie jej matka — powiedział Michał.

Podeszliśmy teraz zupełnie blisko do ranionego zwierzęcia. Było wycieńczone. Nie miało sił uciekać. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem ogromne, pełne lęku, łzawe oczy sarny.

— Odejdźcie stąd dalej i stójcie spokojnie bez ruchu — polecił nam pan leśniczy. Sam, łagodnie przemawiając, podsunął sarnie kostkę cukru. Nie chciała go. Wykręcała głowę w kierunku, skąd dobiegł właśnie głos młodej sarenki.

Chociaż pan leśniczy nakazał nam spokój, żeby nie płoszyć zwierzęcia, nie wytrzymałem i cichutko zrobiłem parę kroków w kierunku Diody.

— Jest taka szara, dlaczego? Latem widywałem rude — szepnąłem.

— Zmieniła suknię na zimę, żeby się upodobnić do leśnego otoczenia — odszepnęła Dioda.

Tymczasem pan leśniczy obejrzał dokładnie zranioną sarnę.

— Musimy ją zabrać do domu, inaczej zginie.

Michał przyniósł z sań derkę. Potem razem z Pawłem, który był spośród nas najsilniejszy, ostrożnie unosili sarnę, żeby nie sprawić jej bólu, a my z Grzegorzem podsuwaliśmy pod nią derkę i wraz z derką ułożyliśmy ją na saniach. Była niespokojna, ale wstać nie mogła.

Mała sarenka wciąż krążyła wokół poręby. Kiedy wolno ruszyliśmy w drogę, zapłakała. Odpowiedział jej rozpaczliwy głos matki. Wtedy mała zaczęła iść za nami. Z daleka widzieliśmy jej smukłą sylwetkę jak czarną kreseczkę na białej drodze.

Zapadł zmierzch, gdy stanęliśmy przed leśniczówką. Pan leśniczy pojechał do pobliskiej stacji doświadczalnej hodowli zwierząt po weterynarza, Michał i Grzegorz opróżniali obórkę, a Dioda, Paweł i ja nosiliśmy słomę na podściółkę. Gdyśmy ułożyli na niej sarnę, odeszliśmy, drzwi obórki pozostawiając otwarte. Ale mała sarenka nawet się nie zbliżyła do zabudowań leśniczówki. Stała nieruchomo na drodze długą chwilę, a potem nagle zawróciła i pognała do lasu.

— Zima taka śnieżna, czy ją przetrzyma bez matki? — spytałem.

Michał uśmiechnął się.

— Jest już dosyć duża, musi wreszcie zacząć samodzielne życie.

— Da sobie radę — dodał pan leśniczy, który nadszedł już z weterynarzem. — Dołączy do stada, a w stadzie nie zginie.

Weterynarz zbadał dokładnie okaleczoną nogę sarny, usunął śrut i założył opatrunek.

— Zajrzę jutro — powiedział. Potem pożegnał się i odjechał.

Staliśmy ze smutnymi minami.

— No, nie martwcie się, chłopcy — pocieszał nas Michał. — Rana się zagoi, zwierzę wydobrzeje, nabierze sił i pójdzie do lasu.

— Albo na pieczeń — szepnął Kaktus i zaczął się cichutko śmiać. Dobrze, że poza mną nikt tego nie usłyszał, bo zjawiła się właśnie pani leśniczyna z miseczką wody, marchwią i sianem dla sarny i wszyscy pospieszyli jej z pomocą.

Potem zostaliśmy zaproszeni na spóźniony obiad. Był pyszny: barszcz czerwony z kluseczkami, bigos myśliwski i kiełbaski na gorąco. Apetyty mieliśmy ogromne, że aż wstyd się przyznać.

Wieczorem długo siedzieliśmy przed otwartym paleniskiem pieca, suszyliśmy kurtki i popijając herbatę z malinowym sokiem, roztrząsaliśmy wypadki dnia.

— Tatusiu! — w pewnym momencie odezwała się Dioda. — Opowiedz nam swoją przygodę z wilkami, kiedy to całą noc musiałeś palić ognisko, żeby je odstraszyć!

— A tak, ale już nie dziś. Jest późno. Czeka nas przecież jutro piękny dzień. A teraz pora spać!

Choć mieliśmy ogromną ochotę posiedzieć jeszcze przy ogniu, posłusznie poszliśmy do przeznaczonego dla nas pokoju na pięterku z czterema posłaniami na polowych łóżkach.

Kiedy już zgasiliśmy światło i leżeliśmy pod kocami, Kaktus powiedział:

— Ta historia z ogniskiem i wilkami to pewnie bajeczka dla grzecznych dzieci, żeby nie chodziły same zimą do lasu.

— Dlaczego? Przecież mogło się coś takiego wydarzyć — zaoponowałem.

— Ach, wierzysz we wszystko, co ci się powie!

— Nie kłóćcie się — odezwał się Paweł — lepiej pomyślcie, jak po feriach będziemy zdawać poprawkę.

— Brrr! — wzdrygnął się Grzegorz. — Nie psujcie mi dnia, przestańmy gadać i śpijmy.

Długo nie mogłem pogrążyć się w sen. Przed oczyma wciąż miałem biały las i czerwoną czapeczkę Diody, i płatki śniegu na jej rzęsach. Jakich wspaniałych ma rodziców! I rodzeństwo! Michał jest taki dzielny... a mała Monika bardzo grzeczna... I przypomniał mi się mój braciszek, i mama, i tato, i myśląc o nich już-już zasypiałem, gdy uszu moich dobiegł daleki warkot. Odrzuciłem koc nasunięty na głowę. „Samolot?” — zastanawiałem się. Warkot stawał się coraz bliższy, więc wyskoczyłem z łóżka i zbliżyłem się do okna. Coś w górze

zaiskrzył się śnieg od światła, potem zauważyłem okrą'gławy cień i coś z łoskotem przewaliło się nad dachem domu. Zamknąłem oczy. Zrobiło się znów cicho. „Wylądował” — pomyślałem. Po chwili na dole dał się słyszeć ruch. Uchyliłem skrzydło okna. Skrzypiał śnieg... ktoś chodził z drugiej strony domu. Nic nie widziałem. Poczułem się nagle nieswojo i nie zastanawiając się wiele zacząłem budzić kolegów. Niełatwe to było — spali bardzo mocno.

— Wstawajcie — potrząsałem ich za ramiona. — W leśniczówce coś dziwnego się dzieje...

Pierwszy oprzytomniał Paweł.

— Coś tu przyleciało, a na dole palą się światła, widziałem — mówię mu.

— Widziałeś? Jakie było? — dopytywał się Grzegorz.

— Widziałem tylko okrągławy cień na śniegu, a przedtem zajaśniało od świateł w oknach na dole. A może... może tam się komuś stało coś złego — przyszło mi nagle do głowy — i potrzebna jest pomoc?

— Im? To raczej nam będzie potrzebna — powiedział Grzegorz. — To na pewno UFO! Chcą nas zabrać na inną planetę.

— Coś ty! UFO? Z takim hukiem? Pojazdy z innych planet latają bezgłośnie, czytałem...

— A był huk? Nie mówiłeś o tym — zauważył Kaktus. — Chyba mają jakąś awarię...

— I przylecieli tu, żeby ją usunąć — zakpiłem. — Chybaście pospadali z choinki!

— Sam spadłeś — odciął się Kaktus. — Najpierw budzisz nas i straszysz, a potem drwisz sobie!

— Nie kłóćcie się — pojednawczo odezwał się Grzegorz. — To dobrze, że nas obudził. Przecież przybysze z kosmosu mogli wylądować gdzieś w górach, zamaskować swój pojazd i przylecieć tu innym, przypominającym te, jakich się używa na Ziemi, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Pomysłów to mu nigdy nie brakowało, a ten wydawał się zupełnie prawdopodobny. „A jeśli Grzegorz rozumuje słusznie? Zaraz, zaraz, muszę to sobie dokładnie rozważyć” — myślałem

czując, że znów popadam w rozterkę. „Jacyś goście zakłócili nocny spokój w leśniczówce. To fakt. Czy są przybyszami z innej planety? Nie wiemy. Jeżeli są, to znaczy, że Dioda... że jej ojciec... Nie, to niemożliwe, żeby zwabili nas tu podstępnie! Goście zjawili się niespodziewanie, nikt o tym nie wiedział... to przypadek, na pewno...” Poczułem chłód, więc przymknąłem uchylone okno i usiadłem na łóżku.

— Na dole rzeczywiście dziwna, jak na tę porę, krzątanina — odezwał się Paweł.

Zaczęliśmy nasłuchiwać. Nagle zaparliśmy oddech. Ktoś ostrożnie stąpał po schodach wiodących na pięterko. Po drugiej stronie korytarza spał Michał. Zgrzytnęła klamka u drzwi — chyba do jego pokoju. Dobiegła nas przyciszona rozmowa.

— Zaraz nas zabiorą — szepnął Grzegorz. — Wpadliśmy! Uciekajmy, chłopaki, przez okno!

Jego niepokój udzielił się również nam.

— Ubieramy się! — dał cichą komendę Paweł. — Pakować plecaki. Weźmy także każdy po jednym kocu.

— Przecież nie są nasze — bąknąłem nieśmiało.

— Trudno. Jest zimno, będą nam potrzebne. Pierwszy autobus nadjedzie dopiero o piątej rano. Która godzina?

Grzegorz popatrzył na zegarek z fosforyzującymi wskazówkami.

— Dwunasta.

Na dole znów usłyszeliśmy wzmożony ruch, jakby przesuwano krzesła. Siedzieliśmy na swoich łóżkach spakowani i ubrani.

Wtem skrzypnęły drzwi do pokoju Michała i ktoś zatrzymał się pod naszymi.

— Śpią — to był chyba głos pana leśniczego.

— To dobrze — odrzekł Michał — myślałem, że może się pobudzili.

Kroki oddalały się, Michał i pan leśniczy zstępowali po schodach w dół.

Odetchnęliśmy.

— A już myślałem, że wejdą do nas — szepnął Grzegorz.

— Z ich rozmowy wynika, że chcą, byśmy spali — powiedziałem.

— To nic, nie znamy ich planów...

— Zastanówmy się teraz, co robić dalej — zadecydował Paweł. — Najlepszy pomysł przegłosujemy.

Zawsze podziwiałem trzeźwość jego umysłu.

Milczeliśmy pogrążeni we własnych myślach. Nic mądrego nie przychodziło mi do głowy. Nie wierzyłem w złe zamiary państwa leśniczych w stosunku do nas i strach już odszedł ode mnie. Nie miałem ochoty wychodzić na śnieg z ciepłego domu i błąkać się gdzieś po pustkowiu w oczekiwaniu na autobus.

Nagle rozległ się warkot zapuszczanego silnika. Kaktus otworzył okno.

— Kroki na śniegu... Wielu osób...

— Na górę, jak na razie, nikt nie idzie. Chyba nas tu pozostawią — orzekł Paweł.

Po chwili znów coś z łomotem przetoczyło się nad naszymi głowami. Przywarliśmy do szyb okna. Nic nie było widać, tylko na śniegu leżały prostokąty światła padającego z okien na dole.

— Gdyby nasz pokój był z tamtej strony, wiedzielibyśmy, co to za przybysze w nocy! — Paweł zdjął plecak i postawił na ziemi. — Specjalnie nas tu położyli, żebyśmy nic nie mogli zobaczyć...

— A wczoraj zaplanowali tę historię z rozwożeniem karmy i sarną, żebyśmy się pomęczyli i z nadmiaru wrażeń i świeżego powietrza spali w tę noc jak susły — dodał Kaktus i też zsunął z ramion plecak, więc i ja uwolniłem się od swojego.

— Wszystko było z góry ukartowane. I to zaproszenie nas do leśniczówki... Mówię wam! Oni tu jeszcze po nas przyjdą! O, jacy jesteśmy naiwni — biadał Grzegorz. — Tak się dać wykołować!

Słuchając kolegów pożałowałem, że narobiłem alarmu. „Spaliby teraz w najlepsze i byłby spokój” — myślałem. „Lecz jeśli się okaże, że to nie ja, tylko oni mają rację? Sam się zląkłem na początku... Chyba jednak dobrze się stało, że ich obudziłem, inaczej ryzykowałbym ich bezpieczeństwo...”

— Co robimy? — zapytał Paweł. — Zastanowiliście się?

— Uciekamy — powiedział Grzegorz.

— Z piętra? Nie skoczymy przez okno — zauważyłem.
— Powiążemy prześcieradła i spuścimy się.
— Zupełnie jak w filmie —zaśmiał się Kaktus. —Zobaczyliby nas z okien i połapali jak kurczęta.
— Tak, to nie jest dobry pomysł. A co ty sądzisz? — Paweł zwrócił się do mnie.
— Myślę, że możemy tu zostać do rana. Przecież jak dotąd nie spadł nam nawet włos z głowy. Ktoś przyleciał i ktoś odleciał...

„Ktoś odleciał... odleciał...” Słowo to zwielokrotniło się nagle w moich uszach jak echo. Poczułem zamęt w głowie.

Paweł spojrzał na Grzegorza i Kaktusa.
— Ja też uważam, że możemy poczekać do rana. Teraz mogliby nas zawrócić. Co wy na to?
— Zgoda — skinął głową Kaktus.
— Nie mam wyboru. Jestem w mniejszości — odparł Grzegorz z rezygnacją i dopiero teraz ściągnął z siebie plecak i postawił obok naszych na ziemi.

Paweł poczuł się w swoim żywiole.
— Posłuchajcie uważnie — rozkazywał. — Niech się nikt nie ośmieli jutro dać po sobie poznać, że coś podejrzewa. W ten sposób uśpimy ich czujność. Zjemy śniadanie, jak gdyby nigdy nic, i pożegnamy się. A gdyby sytuacja była groźniejsza, uciekniemy... na przykład do gajówki, jest niedaleko stąd, na prawo od drogi prowadzącej do szosy. Widziałem to na planie.
— Z plecakami? — wtrącił Kaktus. — Od razu się domyślą.
— To je zostawimy.
— Ojej, taki dobry plecak! — rozżalił się Grzegorz.
— Nie jęcz! —skarcił go Paweł. —A teraz powyjmować koce i do łóżek! Ja zostanę na straży.

Było już po północy, a ja wciąż nie mogłem zasnąć. Wsłuchiwałem się w odgłosy z dołu, dopóki wszystko nie utonęło w ciszy. Otworzyłem oczy i popatrzałem na pokój. Kaktus i Grzegorz spali. Paweł siedział na łóżku owinięty w koc. Żal mi się go zrobiło, że tak się poświęcił dla nas, więc szepnąłem:

— Prześpię się trochę i zmienię ciebie. Nie zapomnij mnie obudzić.

A potem swoim zwyczajem zacząłem liczyć. Pomogło mi.

Nie wiem, jak długo spałem. Przyśniła mi się Dioda w czerwonym kapturku i z białymi płatkami na rzęsach. Uśmiechała się. Ale był to uśmiech tajemniczy. Jej oczy kryły w sobie coś niezgłębionego i nagle z szarych zrobiły się zielone. Cała Dioda zrobiła się zielona, jakby nałożyła maskę. Nie, to nie była maska, to był skafander. Była w stroju kosmonauty. Przestraszyłem się, że odleci z Ziemi, że już jej nigdy nie zobaczę, i obudziłem się pod wrażeniem tego snu. Poczułem się straszliwie bezradny.

— Paweł — szepnąłem — teraz ja popilnuję. Połóż się. Jak się nie wyśpisz, nie będziesz miał głowy do myślenia. Co bez ciebie zrobimy?...

— Nie rozmazuj się! Jeśli nie możesz spać, to czuwaj, a ja się zdrzemnę choć godzinkę.

Paweł położył się, a ja usiadłem. „To tylko sen” — pociesza-

łem się w duchu. „Może Dioda śpi i w ogóle nie wie, że ktoś tu był... Ach, ta noc, żeby się wreszcie skończyła! W nocy wszystko wydaje się dziwne i straszne” — dodawałem sobie otuchy, gdyż głęboko we mnie czaił się lęk o Diodę.

Podszedłem do okna. Było ciemno. Na niebie ani jednej gwiazdy, ni księżyca. Kłębiły się na nim chmury i padał śnieg. „Wszystkie ślady zostaną zasypane, nie zobaczę nawet miejsca, skąd odleciała...” —pomyślałem o Diodzie i przypomniał mi się jej sonet. „Jak ze wstającym słońcem mroki się szamocą, jak dzień zatryumfuje nad schodzącą nocą” — szeptałem słowa wiersza, który umiałem na pamięć.

Tak dotrwałem do świtu. Nie budziłem kolegów. Leśniczówka też spokojnie spała, jakby się w nocy nic nie wydarzyło. Było już widno, więc położyłem się na chwilę walcząc ze snem. Zmógł mnie jednak.

Obudziłem się pierwszy i wyjrzałem oknem. Na podwórzu Dioda ze swoją siostrzyczką lepiły bałwana. Spojrzałem na zegarek. Ojej, już dziewiąta!

Ogarnęła mnie radość.

— Wstawajcie, śpiochy! — zawołałem raźno na kolegów i zacząłem ściągać z nich koce. — Jest późno!

W pierwszej chwili przestraszyli się. Ta nagła pobudka wydała im się alarmem.

— Wiejemy? Już? — bełkotał wpółprzytomny Grzegorz.

— Skądże! Nic złego się nie dzieje, ale czas wstawać.

Paweł zeskoczył z łóżka i w mig je zasłał, myśmy także szybko się uwinęli. Nasze plecaki ustawiliśmy w rządku pod oknem, gotowe każdej chwili do zabrania. Niewiele w nich było. Wzięliśmy tylko to, co potrzebne na dwudniową wycieczkę i jeden nocleg.

Ten nasz „stan pogotowia”, tak poważnie traktowany przez kolegów, rozśmieszył mnie, ale nie dałem tego po sobie poznać.

Powoli schodziliśmy na dół. W holu natknęliśmy się na panią leśniczynę. Niosła olbrzymi talerz pokrojonego chleba.

Zaszuraliśmy nogami w ukłonie.

— Dzień dobry — odrzekła. — Jak się wam spało?

Wydało mi się, że przygląda nam się jakby z niepokojem.

— Świetnie! — zawołał beztrosko Paweł. — Jak nigdy w życiu!

Pani leśniczyna spojrzała na niego badawczo, może dosłuchała się w jego głosie nieprawdy?

— Za pół godziny proszę was na śniadanie. Jest dziś bardzo spóźnione, ale to przecież niedziela — dodała i znikła za drzwiami prowadzącymi do pokoju.

— Idę na dwór — szepnąłem Pawłowi — może uda mi się coś wyświetlić.

— Dobra, a my tutaj będziemy sondować.

Pobiegłem do Diody. Nie zamierzałem niczego wyświetlać, bo widok jej z okna był tak zwyczajny, radosny i swojski, że wszystkie nocne niepokoje uciekły ode mnie.

— Dzień dobry! — zawołałem wesoło. — Pomogę wam lepić bałwana!

— Już go kończymy! — odkrzyknęła tocząc po ziemi białą kulę, przeznaczoną, jak się domyśliłem, na głowę.

Jej siostra, Monika, wciskała w brzuch śniegowego luda czarne guziki węgielków.

— Teraz tylko oczy, nos i usta — powiedziała.

Dioda ustawiła sanki tak, żeby Monika mogła na nich stanąć i dosięgnąć głowy bałwana.

— Śniadanie będzie za pół godziny, może się trochę przejdziemy? — zaproponowałem.

— Dobrze — zgodziła się. — Pokażę ci śpiącą pod śniegiem pasiekę, to niedaleko.

Szliśmy wolno w kierunku bramy.

— Słyszałam od Pawła, że masz brata w wieku Moniki — rzekła. — Opowiedz mi o nim.

— Teraz pewnie karmi wróble na balkonie —uśmiechnąłem się.

— Lubi ptaszki?

— Tak. I geografię. Kiedy się uczę, wodzi palcem po mapie. Zna ją nie gorzej niż niejeden uczeń.

— To dobrze, że się tak interesuje.

— Tylko że z tego wynikają czasem bardzo śmieszne rzeczy — powiedziałem.
— Śmieszne? Dlaczego?
— Na przykład kiedyś mama posiała nas do lekarza po skierowanie na prześwietlenie. Weszliśmy do gabinetu razem z bratem, bo nie chciał zostać sam w poczekalni.
— Przyszliśmy po skierowanie na prześwietlenie — zacząłem.
— A tak, wiem — przerwał mi lekarz. — Zatoki czołowe.
— Czołowe to są moreny — rzekł mój brat żując gumę — a Zatoka jest Gdańska — i wypuścił ogromny balon z „donalda".

Dioda się śmiała. Wyglądała sympatycznie w naciśniętej na oczy czapeczce. „Czyż mogłaby zrobić komukolwiek krzywdę? Pomóc w porwaniu swoich kolegów na inną planetę jako eksponaty z Ziemi?" Bawiła mnie myśl o tym, co w nocy mówił Grzegorz. Kiedy byłem z Diodą, podejrzenia rozsypywały się w puch. Było mi wstyd, że mogłem choć przez chwilę wątpić w jej szczerość.
— A wiesz — wyrwała mnie z zamyślenia — Monika też robi nam różne śmieszne kawały. Jedno zdarzenie utrwaliłam w wierszu, zaraz ci go powiem, jeśli chcesz.
— Chcę. Należy mi się rewanż — zażartowałem.
— Siostra miała wtedy trzy lata, byliśmy nad morzem:

Na plaży

ludzie w słońcu się smażą i oczom
małej Moniki wydają się jak naleśniki:
na kocu leżą jak na talerzu – trzeba je
cukrem posypać.

Zanurza w piasku ręce,

„cukru" chce wziąć jak najwięcej...

Wtem krzyki

rozgniewały się „naleśniki"!

Słuchając wiersza zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem — Dioda patrzała na mnie wesoło. Roześmialiśmy się, bo obraz rozgrzanej słońcem plaży, jaki podsunęła nam wyobraźnia, kłócił się z otaczającą nas chłodną bielą śniegu i pochmurnym niebem.

— Opowiedz coś jeszcze o bracie — poprosiła.

— Zawsze wyrasta tam, gdzie go nie posieją — wpadł w naszą rozmowę Kaktus, który zaszedł nas cichutko od tyłu.

— Tak jak ty wyrosłeś teraz — odpaliłem zły.

Dioda przyjrzała nam się uważnie i powiedziała:

— Lepiej wracajmy.

„I z pasieki — nici...” — zasmuciłem się, ale zaraz się pocieszyłem: „Ona nie chce, żeby Kaktus oglądał drzemiące ule.”

Przed wejściem do domu Dioda zawołała siostrę.

— Musimy się przygotować do śniadania — uśmiechnęła się. — Przepraszam, że was zostawię na chwilę.

Poszliśmy na pięterko.

— Przewąchałeś coś? — zapytał mnie Kaktus, kiedy znaleźliśmy się w pokoju. — Zdaje się, że zmarnowałeś czas na głupiej pogawędce. Nie wykonałeś zadania.

Nie wykonałem. I nie robiłem sobie z tego powodu żadnych wyrzutów.

— A ty, czy dowiedziałeś się czegokolwiek? — zapytałem. — Mieliście przecież z Pawłem coś „wysondować” — dodałem złośliwie.

— Wysondowaliśmy. Rozmawialiśmy z Michałem.

— No i co?

— Był niewyspany i roztargniony. To małomówny chłopak.

— Tylko tyle?! — zacząłem się śmiać.

Kaktus speszył się.

— To nie takie łatwe — usprawiedliwiał się. — A wiesz, że nie wolno nam odwiedzić sarny?

— Czyżby się jej pogorszyło? — zaniepokoiłem się.

— Na pewno! Dorżnęli ją na pieczeń — Kaktus uśmiechnął się drwiąco.

Miałem ochotę rzucić się na niego z pięściami. Nie, nie

mogłem, nie chciałem w to uwierzyć. Kaktus zmyślał, żeby mi zrobić na złość, tak, tak! Za to, że spacerowałem z Diodą. Śledził nas i podsłuchiwał!

Kiedy weszli Paweł i Grzegorz, zapytałem:

— Czy podtrzymujemy nasz plan?

— Tak. Wynosimy się zaraz po śniadaniu. Trzeba korzystać, póki jest dzień.

Nie protestowałem, choć żal mi było tych paru godzin, które mogliśmy spędzić w Uroczysku.

Na śniadanie zeszliśmy z plecakami i kurtkami.

— Już jesteście gotowi do drogi? — zdziwił się pan leśniczy.

— Tak. Chcielibyśmy wcześniej się pożegnać, bo szosę zasypie śnieg i może nie będą jeździły autobusy — wyjaśnił Paweł.

— Przeciwnie! Drogi się dopiero przetrą, rano zawsze jest najgorzej — wtrąciła pani leśniczyna.

Kaktus przyszedł z pomocą Pawłowi:

— Rodzice prosili nas, żebyśmy nie wracali po ciemku...

— No i żebyśmy nie sprawiali państwu kłopotu zbyt długim pobytem — uzupełnił Grzegorz.

— Kłopotu? Skądże znowu! — zawołał pan leśniczy. — No, ale skoro rodzice...

— Zostańcie na obiedzie! — prosiła Dioda. — Po południu też są autobusy, na kolację bylibyście w domu.

— No właśnie — poparli ją rodzice i brat. — To przecież koniec waszych „małych ferii”, szkoda je skracać.

Spojrzeliśmy po sobie. Wszyscy byli dla nas tacy mili... Na twarzy Kaktusa, a nawet Grzegorza, odmalowało się wahanie, lecz Paweł był nieustępliwy:

— Dziękujemy — ukłonił się, a my za nim. — Bardzo nam żal, że nie możemy być dłużej.

Nie lubił zmieniać decyzji.

— No cóż, trudno — westchnęła pani leśniczyna i poprosiła do stołu.

Dioda popatrywała raz po raz w naszym kierunku, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego tak wcześnie postanowiliśmy wyjechać. Widać to było po niej.

— Jak się wam spało, chłopcy? — zagadnął nas pan leśniczy. — Nie zmarzliście pod kocami?

Kaktus porozumiewawczo trącił mnie nogą pod stołem.

— Ależ nie, było nam bardzo ciepło — zapewnialiśmy gorliwie.

— I spaliśmy wspaniale! — w głosie Kaktusa wyczułem nutkę ironii, a może mi się tylko tak zdawało?

Państwo leśniczowie spojrzeli na siebie.

„Coś tu jednak przed nami ukrywają" — pomyślałem.

— A jak się czuje sarna? — Kaktus popatrzył na Michała.

Michał nic nie odpowiedział. Udawał, że jest pochłonięty jedzeniem. Dioda najwyraźniej się zaniepokoiła. Państwo leśniczowie znów wymienili spojrzenia.

— Całkiem dobrze — wyręczył Michała pan leśniczy. — Ma troskliwą opiekę.

— Czy moglibyśmy ją zobaczyć przed odjazdem? — zapytałem, bo pragnąłem się upewnić, że jest w obórce i że gadanie Kaktusa to po prostu niemądry żart.
— Zobaczyć, mówisz — pan leśniczy jakby celowo zwlekał z odpowiedzią. — Lepiej dać jej spokój. Zwierzę przeżyło wczoraj swój dramat.
— Dramat? Uratowaliśmy je przecież — zdziwił się Grzegorz.
— To prawda, ale jest chore.
— Nie żyje! — zawołał Kaktus.
— Ależ nie, kochani, żyje, nie martwcie się. Jest pod dobrą opieką i będzie zdrowe.

Pan leśniczy przyglądał się każdemu z nas przenikliwie, a potem dodał:
— Nie spaliście tej nocy najlepiej, za co was szczerze przepraszamy...
— Nie spaliśmy — wyznał nagle Paweł.

„A mieliśmy udawać, że nic nie słyszeliśmy! Co mu się stało?”
— Tego się właśnie obawiałem — powiedział pan leśniczy. — No cóż...
— Był hałas, coś tu przyleciało — brnął dalej Paweł wbrew ustalonemu planowi.
— Ach taaak? Nie chciałem wam mówić, że w nocy sarnie się pogorszyło, miała temperaturę... Wezwaliśmy helikopter ze Stacji Doświadczalnej Hodowli Zwierząt w Łopiankach, żeby ją zabrano. Mają tam aż czterech weterynarzy.
— Helikopter?... — W głosie Grzegorza było niedowierzanie. — To przecież niedaleko. Saniami transport byłby tańszy.

Państwo leśniczowie i Michał roześmiali się.
— Byłoby za późno, droga na skróty zasypana zwałami śniegu. Stacja ma własny helikopter. Zabrano sarnę pod opieką weterynarza, który podejrzewa u niej zapalenie płuc.
— Czy nie lepiej było dobić ją na mięso? — bezwstydnie i podstępnie ośmielił się powiedzieć Kaktus.

Państwo leśniczowie znów popatrzyli na siebie, potem na Kaktusa. Dioda jadła z oczami wlepionymi w talerz. Michał, jakby trochę zniecierpliwiony, odłożył widelec:

— Sarna będzie miała małe w czerwcu.
— Stracilibyśmy trzy sarny, nie jedną — dodał pan leśniczy.

Zaległa przykra cisza. „Ach, ten Kaktus! I po co się tak wyrwał? Czyżby naprawdę wierzył w to, co mówi?" — myślałem i wstyd mi było za niego.

— Nie chcieliśmy, żeby wasz pobyt w leśniczówce zakończył się smutno, dlatego usiłowaliśmy ukryć przed wami ciężki stan biednego zwierzęcia — przerwała niemiłe milczenie pani leśniczyna. — Ale teraz, skoro już wiecie, możemy was tylko pocieszyć, że lepszej opieki nie mogliśmy sarnie zapewnić.
— Czy przeżyje? — zapytałem.
— Nie wiadomo. W stacji będą walczyć o nią. Mało mamy saren w naszym lesie. Dbamy o każdą sztukę — odpowiedział pan leśniczy.

„Wszystko się wyjaśniło..." —pomyślałem z ulgą i zwróciłem oczy w kierunku Diody. Ona też, jakby odprężona, patrzała na mnie. Uśmiechnąłem się do niej.

— Tatusiu — odezwała się — może zadzwonimy do Łopianek i zapytamy, jak się miewa sarna?
— Nie, córeczko. Umówiłem się, że sami dadzą nam znać, kiedy niebezpieczeństwo będzie zażegnane. Oni potrzebują teraz spokoju, nie można go im zakłócać.

Po śniadaniu pożegnaliśmy gościnne Uroczysko i ruszyliśmy na przystanek autobusowy. Padał gęsty śnieg.

— Jak myślisz — spytałem Michała, który wraz z Diodą nas odprowadzał. — Czy młoda sarenka odnajdzie swoje stado?
— Już je odnalazła — odrzekł. — Zwierzęta znają swoje ścieżki.

Na przystanku przytupywaliśmy, żeby nie zmarzły nam nogi. Niebawem zobaczyliśmy żółte oczy oblepionego śniegiem autobusu. Wtedy Michał podał mi paczuszkę, którą cały czas niósł pod pachą.

— To dla twego brata. Karmnik dla ptaków — powiedział.

Podziękowałem. Dioda uśmiechała się wesoło spod nasuniętej głęboko czapki.

— Dziękujemy za gościnę! — wołaliśmy w drzwiach autobusu. — Do widzenia!

Długo patrzałem przez tylną szybę na malejące w oddali ciemne figurki Diody i Michała.

W autobusie było sennie i cicho. Prócz nas jechało ledwie kilka osób. Zajęliśmy miejsca na tylnym siedzeniu i milczeliśmy.

— A może coś powiecie? — nie wytrzymał Grzegorz.

— Zachowaliśmy się głupio — orzekł Paweł.

— Tak — przyznałem. — Te nasze wypytywania przy śniadaniu nie były taktowne. Należało do końca udawać, że nic nie słyszeliśmy. Sprawiliśmy im przykrość...

— Ale wtedy nie poznalibyśmy prawdy — powiedział Kaktus.

— A czy sądzicie, że ta bajeczka z chorą na zapalenie płuc sarną i helikopterem ze stacji doświadczalnej jest prawdą?! — zawołał Grzegorz. — Sarnę zabrało UFO jako eksponat z Ziemi!

Redaktor: Maria Bosacka
Redaktor techniczny: Ryszard Biller
Korektor: Małgorzata Szulczyńska

Printed in Poland

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE .POZNAŃ 1988

Wydanie I. Nakład 49 750 + 250 egz. Ark. wyd. 3,5; ark. druk. 4,0. Druk ukończono w kwietniu 1988 r. Zam nr 39/87
Z-10/14 Zlec. nr 70224/87

Cena zł 150,—